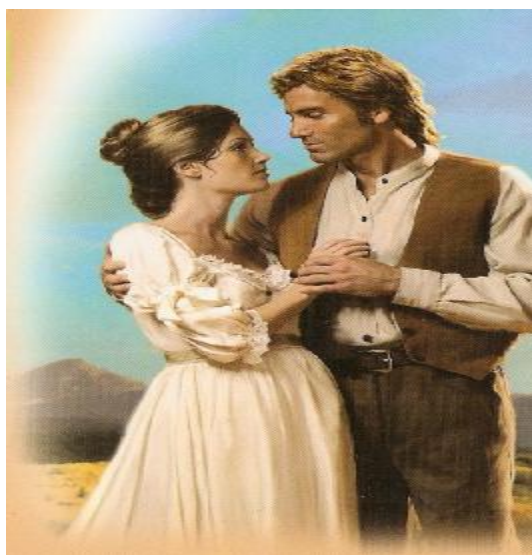




*Julia Justiss*



*Świąteczne podarki*

Tytuł oryginału: THE THREE GIFTS



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Okolice Lizbony, połowa listopada 1810 r.*

Porucznik Miles Hampden, zmrużywszy oczy przed blaskiem zachodzącego słońca, wpatrywał się uważnie w migoczące w dali światła obozowych ognisk, znaczących linie wroga przed fortyfikacjami Torres Vedras\*. Tych ognisk było znacznie mniej niż wczoraj. Prawdopodobnie do generała Masseny dotarło, że nie da rady skłonić Wellingtona do opuszczenia labiryntu fortyfikacji i stawienia czoła w otwartej bitwie, dlatego zarządził odwrót.

\* Torres Vedras – cztery linie fortyfikacji, zbudowanych z rozkazu Wellingtona, broniących dostępu do Lizbony. (Przyp. Tłum)

Francuzi opuszczają Portugalie, to samo uczyni wkrótce porucznik Hampden.

Drgnął, czując na sobie przenikliwy chłód listopadowego wiatru, wiejącego zza barykady. W głębi swego stwardniałego od wojaczki serca trochę było mu żal wygłodzonej armii wroga, którą czekał długi marsz przez jałową krainę z powrotem do Hiszpanii.

On zaś wróci do Anglii, krainy cieplej i żyznej. Wróci w porze świąt Bożego Narodzenia, powinna więc rozpierać go radość. Niestety było inaczej, a to z powodu przygnębiających wieści, jakie dotarły do niego w zeszłym tygodniu.

Po powrocie do Hampden Glen nie zastanie dworu przystrojonego w ostrokrzew i jemiołę, lecz posępne domostwo spowite w żałobną czerń. Zamiast wraz z domownikami i służbą wśród radosnych okrzyków ciągnąć do domu *yule log*\*, odbędzie samotną pielgrzymkę do rodzinnej krypty, gdzie spoczęły doczesne szczątki jego ojca i starszego brata. Obaj zginęli w powozie,

który przewrócił się, gdy wracali z jarmarku. Stało się to przed kilkoma tygodniami.

\* Yule log (ang. ) – grube polano, które tradycyjnie pali się w kominku w Wigilię. (Przyp. tłum. )

Kiedy pierwsza rozpacz minęła, porucznik wrócił do swych obowiązków, choć od wyjazdu do Anglii dzieliło go tylko kilka dni. I miał powrócić tam już nie jako zwyczajny porucznik Hampden z III Regimentu Piechoty, lecz wicehrabia Hampden, głowa rodziny oraz opiekun owdowiałej bratowej i jej córeczki.

Będzie mu brakować towarzyszy broni, brakować wojaczki, tego smutnego, często zatrwazającego rzemiosła. Ale chociaż armii Wellingtona nie udało się jeszcze wygonić Francuzów z Półwyspu, Miles musiał zrezygnować z patentu oficerskiego i wyjechać. Teraz powinien być w Anglii, tym bardziej że w wyniku tych samych smutnych okoliczności, które drugiego syna uczyniły wicehrabią, nowym dziedzicem tytułu Hampdenów został kuzyn Milesa, Reginald. Rozpustnik i hazardzista o reputacji aż tak złej, że nawet Wellington, zwykle bardzo oporny w zwalnianiu ze służby zaprawionych w boju oficerów, składając kondolencje, dodał, że w tej sytuacji Miles istotnie nic innego nie może uczynić, jak zwrócić swój patent i jechać do Anglii.

Reginald, inaczej Reggie... Już podczas studiów w Oksfordzie dał się poznać jako pijak, oszust i łobuz, który znęcał się nad słabszymi kolegami, za co zresztą został relegowany. Osiadł wtedy w Londynie, gdzie dalej hańbił nazwisko Hampdenów szalonymi eskapadami, namiętą grą o wysokie stawki i innymi występkami. A teraz ten chłystek, jeśli Miles umrze bezpotomnie, roztrwoni cały przez pokolenia gromadzony majątek Hampdenów. Zostanie też opiekunem prawnym delikatnej, łagodnej Agnes i jej małej Beth.

Naturalnie istniało jeszcze inne rozwiązanie, o czym raczył wspomnieć Wellington. Gdyby Miles się postarał, raz dwa znalazłby sobie jakąś ślicznotkę na tutejszym targu małżeńskim. Mógłby ożenić się, spłodzić dziedzica, aby zapewnić sukcesję, i kiedy rozpocznie się nowa kampania, znów podjąć służbę.

Podczas żołnierskiego życia, kiedy człowiek nie jest pewien dnia ani godziny, Miles rzadko kiedy myślał o ożenku, ale teraz, w obliczu zagrożenia, jakim był kuzyn Reggie, ta kwestia stała się bardzo istotna. Nawet zrobił sobie w duchu szybki przegląd tutejszych dam, które wywarły na nim wrażenie, lecz żadna z nich nie posiadała cech, które widziałby w swojej przyszłej towarzyszce życia. Pierwsza z nich, ognista *contessa* o czarnych oczach i niskim, uwodzicielskim głosie, zapewne uczyniłaby łoże małżeńskie miejscem największych uciech, niestety, nic poza tym. Druga dama, jasnowłosa chłodna piękność, była przede wszystkim wytworna. Milesowi przez jakiś czas wydawało się, że jest w niej zakochany, póki nie zorientował się, że ową damę interesują wyłącznie stroje i plotki. Przypomniawszy sobie też Lacy Standish z Anglii, damę z sąsiedztwa, z którą znał się od dziecka. Bardzo praktyczna, spokojna, świetnie zarządzała majątkiem. Bardziej jednak przyjaciółka niż kandydatka na żonę...

Było już prawie ciemno, a to oznaczało, że jego warta dobiega końca. Tak było w istocie i Miles, po wymianie zwykłych uprzejmości z porucznikiem, który przyjechał go zmienić, wskoczył na konia i odjechał z nadzieją, że ordynans zaparzył już herbatę, a może też udało mu się upolować zającą.

Nagle usłyszał głośny dźwięk, jakże znajomy. Ktoś wypalił z muszkietu. Zaraz też poczuł ostry, rozrywający ból w plecach. I zaczął spadać, spadać w atramentową ciemność.

Mgła. Szara duszna mgła nieświadomości. Miles, starając się z niej wydobyć, wpatrywał się z natężeniem w migoczące światełko.

Ognisko. Ognisko w obozie wrogów.

Nie. Nagle uświadomił sobie, że nie spogląda w dal, ponad barykadą, lecz na lampę. Leży na pryczy, a jego pierś i plecy rozsadza ból.

– Dzięki Bogu! Wreszcie się ocknął! Poruszył głową, pragnąc spojrzeć tam, skąd doleciał głos lorda Sanbrooka, na wojnie porucznika Allena.

– Spokojnie, Hampden! Wilson powiedział, że masz się nie ruszać.

– Ale co... co się stało?

– Jesteś ranny – powiedział porucznik William Wheaten, też przyjaciel. – Pełniący służbę kawalerzysta powiedział, że francuski strzelec trafił cię, kiedy schodziłeś z barykady. A te dranie niby miały się wycofywać! Niech szlag trafi wszystkich żabojadów!

– Czy... czy ze mną bardzo źle?

Na chwilę zapadła złowieszcza cisza.

– Dostałeś kulą w plecy – powiedział Sanbrook. – Utkwiła tam, ale Wilson mówi, że z powodu silnego krwotoku trudno dokładnie określić miejsce. Kłopot w tym, że doktor MacAndrews jest w Lizbonie, ma wrócić dopiero jutro.

– Czy Wilson jest tutaj?

– Tak jest, panie poruczniku! – odezwał się służbiście asystent doktora.

– Czy możecie mi wyjąć kulę?

– Nie, panie poruczniku. Kula mogła utkwąć między sercem a płucem, może być też kilka odłamków. Nie jestem doktorem, nie wolno mi powazyć się na coś takiego tylko po to, żeby się przekonać, jak mało jeszcze wiem. Mógłbym pana zabić, panie poruczniku. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na doktora. – W głosie Wilsona słychać było strach.

– Wilson! Czy ja... dotrwam do rana?

– Będziemy się o to modlić, panie poruczniku.

Czyli mogę umrzeć, pomyślał Miles. Jakaż ironia losu! Z tyłu bitew udało mu się wyjść bez szwanku, przetrwał gorzki odwrót spod Corunny, i oto teraz, kiedy za kilka dni ma opuścić ten kraj, dosięgła go kula...

Ból rozsadzał pierś, ból nie do wytrzymania. Resztką sił opierał się pokusie, by ulec temu demonowi i znów pogрузić się w nieświadomości, jednak uporczywa myśl, że istnieje coś nader ważnego, coś niemal stanowiącego o życiu i śmierci, kazała walczyć z ogarniającą go ciemnością.

Kuzyn Reggie.

– Ja... ja nie mogę dopuścić... żeby Reggie dziedziczył... – wychrypiął.

– Do diabła... – zaklął cicho Sanbrook.

– Wiem, chodzi o sukcesję. Nie przejmuj się, przyjacielu. Postaraj się wytrzymać do przyjazdu łapiducha. Na pewno w mig doprowadzi cię do porządku.

– A nie mógłby zostawić majątku towarzyszom broni? – spytał Wheaten półgłosem. – Mówię tak, naturalnie, tylko dlatego, żeby ulżyć mu w kłopotcie.

– Prawdopodobnie nie – odparł Sanbrook.

– Jeśli Miles zapisze majątek komuś, kto nie jest jego krewnym czy powinowatym, Reginald poda sprawę do sądu, a sąd tylko potwierdzi, że właśnie Reginald jest prawowitym spadkobiercą.

– Za pozwoleniem – odezwał się Wilson. – Jeśli dla pana porucznika to tak ważna sprawa, należałoby już teraz coś uczynić, póki jeszcze jest przytomny.

Sanbrook spojrział Wilsonowi prosto w oczy.

– Sądzicie, że jego stan jest krytyczny?

– Niestety, panie poruczniku, ale tak właśnie przedstawia się sytuacja.

Jest źle, bardzo źle, uzmysłowił sobie Miles. Wilson uważa, że to moja ostatnia noc...

Po raz pierwszy poczuł dławiący strach. Ze śmiercią potrafił się pogodzić, taki już los żołnierza, ale nie z tym, że najbliższa rodzina zmarłego brata skazana będzie na dodatkowe cierpienia! Dwie całkowicie bezbronne istoty...

Zmobilizował w sobie resztkę sił i chwycił Sanbrooka za rękę.

– Ja muszę... muszę coś uczynić...

Przyjaciel spojrzał na niego bacznie, po czym skinął głową.

– Dobrze. Wilson, czy znacie sierżanta Rigginsa z II Regimentu? O ile wiem, jest z zawodu prawnikiem. Sprowadźcie go tutaj jak najszybciej. Hampden... – Wzrok Sanbrooka znów spoczął na Milesie. – Jest tylko jedno rozwiązanie. Musimy znaleźć ci żonę.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Edwina Crofton Denby siedziała przy stoliku w kwaterze swego ojca i związała bandaż.

– Jakie to przykre, kiedy młoda kobieta poświęca się tylko takim obowiązkom – odezwała się pani Crofton, zerkając znad robótki na córkę. – A święta już niebawem. Powinnaś namówić papę, żeby zabrał cię do Lizbony. Teraz będzie mnóstwo przyjęć, przede wszystkim na cześć generała Wellingtona. Mogłabyś chodzić na proszone kolacje, na tańce, zabawić się w towarzystwie przystojnych oficerów.

– Och, mamoo... – Edwina uśmiechnęła się do niej czule. – Przecież wiesz, że pielęgnowanie rannych przynosi mi pociechę. Wiesz też doskonale, że papa wcale nie byłby zadowolony. Zabierając –mnie do Lizbony, musiałby zabrać i ciebie, a tam natychmiast otoczyłby cię tłum wielbicieli.

– Nonsens, moja droga! Kiedyś może byłam piękną, ale to już zamierzchłe czasy. Teraz ty, Edwino, przyciągniesz do siebie tłum wielbicieli. I tak powinno być. Kochanie, sama wiesz najlepiej. Przecież od bitwy pod Talaverą minął rok z okładem. Wiem, wiem, mówiłaś mi nieraz, że nigdy już nie wyjdiesz za męża, ale jesteś jeszcze taka młoda! Powinnaś otrząsnąć się z rozpacz i pomyśleć o sobie.

Dobre rady matki, jak zwykle, wprawiały Edwinę w zakłopotanie. Gdyby matka знаła prawdę... Jednak nie zamierzała wyprowadzać jej z błędu. Nie zamierzała wyznać jej, że to nie rozpacz po stracie męża jest powodem jej niechęci do małżeństwa.

– Jestem szczęśliwa, mamoo, razem z tobą i z papą.

– My też jesteśmy szczęśliwi, że jesteś z nami, ale powinnaś mieć swoją rodzinę, męża i dzieci, które dadzą ci tyle radości, co ty nam.



– Och, mamó, proszę, nie mówmy już o tym. Pani Crofton odłożyła robótkę, podeszła do

córki i pogłaskała ją czule po ramieniu.

– Wybacz, kochanie, że znów o tym wspomniałam, sama jednak wiesz, jak bardzo pragniemy razem z twoim ojcem, żebyś znalazła takie samo szczęście, jakie nas spotkało. Szczęście, jakiego zaznałaś z droгим Danielem.

Edwina, czując, że łzy napływają jej do oczu, po raz kolejny przysięgła sobie w duchu, że nigdy nie wyjawii swojej czulej, kochającej matce prawdy o zmarłym mężu. Zachowa również w tajemnicy swoje plany na przyszłość. Pani Crofton dostałaby waporów, gdyby dowiedziała się, że jej córka po powrocie do Anglii zamierza wieść samotne i samodzielne życie, utrzymując się z pieniędzy ze spadku po dziadku.

Chwała Bogu, że ten zapis w testamencie uczynił ją osobą majątną i wcale nie musi szukać sobie męża...

Pukanie do drzwi obudziło ojca, który drzemał w fotelu. Czujny jak każdy doświadczony żołnierz, natychmiast zerwał się na równe nogi i podszedł do drzwi.

Stało za nimi dwóch mężczyzn w oficerskich mundurach.

– Proszę wybaczyć, panie majorze, że nachodzimy państwa o tak późnej porze – powiedział jeden z nich. – Ale mamy bardzo pilną sprawę...

– Wejdźcie, panowie, i ogrzejcie się przy ogniu. Może kieliszek portwajnu?

– Dziękujemy, panie majorze, ale czas nagli.

Kiedy podchodzili do kominka, Edwina rozpoznała ich. Byli to porucznik Wheaten i porucznik lord Sanbrook, obaj z III Regimentu Piechoty, który kwaterował w sąsiedztwie.

– W czym mogę panom pomóc – spytał major.

– Jednego z naszych towarzyszy trafiła francuska kula. Jest ciężko ranny, niestety doktor MacAndrews jest poza obozem. Jego asystent, kapral Wilson, prosił, byśmy spytali, czy pańska córka nie mogłaby pomóc przy rannym.

– Spytajcie ją o to, panowie.

Lord Sanbrook skierował błagalne spojrzenie ku Edwinie.

– Pani Denby, zdaję sobie sprawę, że jest już bardzo późno, mimo to gorąco panią proszę o pomoc. Wilson mówi, że poza doktorem pani ma największe doświadczenie w pielęgnowaniu ciężko rannych, a nasz przyjaciel jest w stanie krytycznym.

– Kim jest ten ranny żołnierz? – spytała.

– Porucznik Hampden.

Pani Crofton wydała z siebie cichy okrzyk.

– Och, biedny człowiek! Czy to przypadkiem nie on miał za kilka dni wracać do Anglii?

– Tak, proszę pani – potwierdził Wheaten.

Edwina swój okrzyk zdumienia zdołała stłumić. Porucznik Hampden! Nie знаła go dobrze, ale ilekroć zdarzyło mu się odwiedzić regiment jej ojca, zawsze przykuwał jej uwagę. I to nie z powodu przystojnej twarzy czy rosłej postaci, lecz przez tę jego pewność siebie i zapał, którym wprost emanował. Już samą swoją obecnością każdego podnosił na duchu.

– Oczywiście, że pójdę – powiedziała. – Proszę tylko chwilę poczekać, przyniosę płaszcz.

Kilka minut później, otulona w ciepłą, obszytą futrem pelerynę, dosiadała konia. Szczerze niepokoiła się losem porucznika. Ponure miny jego przyjaciół dowodziły przecież jasno, że stan był naprawdę krytyczny.

Jakaż to będzie niepowetowana strata, jeśli ten pełen życia i nadzwyczaj pociągający młody człowiek nie przeżyje dzisiejszej nocy...

Po niedługim czasie dojeżdżali już do namiotów, w których mieścił się lazaret. Lord Sanbrook pomógł Edwinie zsiąść z konia. Od razu ruszyła w stronę namiotu, jednak lord Sanbrook powstrzymał ją.

– Pani Denby, przepraszam, ale zanim pani tam wejdzie, chciałbym coś powiedzieć... wyjaśnić szczególną sytuację, w jakiej znalazł się porucznik Hampden. Bardzo proszę, niech pani spokojnie mnie wysłucha, choć to, co pani usłyszy, na pewno panią wstrząśnie.

Edwina spojrzała na niego z nieskrywanym zdumieniem.

– Proszę, niech pan mówi.

– Kula, którą trafiony został porucznik Hampden, prawdopodobnie utkwiała w klatce piersiowej. Wilson nie odważył się jej wyjąć, bo dopiero terminuje w zawodzie, ale boi się, że porucznik nie doczeka powrotu doktora. Pani zapewne słyszała, że Miles niedawno został wicehrabią Hampdenem. Jeśli umrze w stanie bezzennym, cały majątek dziedziczy kuzyn, zwyczajny łobuz, rozpustnik i hazardzista. Ów kuzyn nie dość, że roztrwoni cały majątek, to jeszcze sprawować będzie kuratelę nad niedawno owdowiałą lady Hampden i jej córeczką. Gdyby pani знаła Reginalda Hampdena tak jak ja, też byłaby przekonana, że tym niewinnym istotom lepiej by już było pod opieką samego szatana.

– W takim razie powinniśmy wszyscy mieć nadzieję, że porucznik Hampden, wbrew obawom Wilsona, jednak przeżyje.

– Oczywiście, ale Hampden nie dość, że jest w stanie krytycznym, to jeszcze zamartwia się o los bratowej i jej dziecka. Boimy się, że z tego powodu może przegrać walkę o życie, dlatego zwróciliśmy się do pani o pomoc.

– Przecież pan wie, panie poruczniku, że uczynię wszystko co w mojej mocy.

– Pomoc, jakiej oczekujemy od pani, jest natury... bardzo osobistej. Ponieważ porucznik Hampden jest w stanie bardzo ciężkim, chcieliśmy zaproponować... poprosić panią, żeby pani została jego żoną.

– Chwileczkę... – Potrząsnęła głową, pewna, że się przesłyszała. – Panowie chcieliby, żeby ja... Przepraszam, co mam zrobić?–

Sanbrook, zarumieniwszy się lekko, odchrząknął nerwowo.

– Została jego żoną. Wzięła z nim ślub – powiedział już nieco pewniejszym głosem. – Gdyby Miles miał żonę, mógłby w ostatniej woli przekazać jej kuratelę nad owdowiałą bratową i jej dzieckiem, tak samo jak i cały majątek, oprócz tych dóbr, które obłożone są specjalną klauzulą spadkową. Powiernikami byłiby jego juryści. Przygotowaliśmy już wszystko, pani Denby. Prawnik sporządza właśnie potrzebny dokument, a kapelan gotów jest dokonać obrzędu zaślubin. Brakuje tylko panny młodej. Mamy wielką nadzieję, że pani da się nakłonić do odegrania tej roli.

Przez dłuższą chwilę milczała, nie odrywając oczu od twarzy porucznika.

– To... szaleństwo! – wyrzuciła z siebie podniesionym głosem i odwróciła się do swego konia, gotowa go dosiąść.

Lord Sanbrook złapał ją za ramię.

– Błagam panią, niech pani nie odjeżdża! Zdaję sobie sprawę, że to niezwykła prośba...

– Istotnie. – Strząsnęła z ramienia jego dłoń.

– Ale proszę ją rozważyć! Jeśli pani się zgodzi, przyniesie pani ulgę dzielnemu żołnierzowi w ostatnich godzinach jego życia. Dzięki pani ofiarności będzie można uratować część majątku Hampdenów i uchronić owdowiałą damę i jej córkę przed okrutnym losem. Błagam, pani Denby, niech pani zastanowi się jeszcze...

– Nie powinnam się na to zgodzić, panie poruczniku! – Już sama myśl, że piękny, utytułowany porucznik miałby pojąć za żonę nieznaną sobie bliżej wdowę o niewielkiej urodzie i niewielkich koneksjach, była wystarczająco niedorzeczna. – To zapewne pański pomysł? Nie wierzę, żeby porucznik Hampden zlecił panu tak niedorzeczną misję.

– A jednak to on przysłał mnie do pani. Prosił, bym panią tu sprowadził. Swoją prośbę chciał wyłuszczyć osobiście, ale Wilson i ja pomyśleliśmy, że zważywszy na ciężki stan porucznika, powinno się go w tym wyręczyć. Pani Denby, proszę, niech pani jeszcze się zastanowi. Nie prosilibyśmy pani, gdyby sytuacja nie była tak rozpaczliwa.

Ton głosu, całe zresztą zachowanie lorda Sanbrooka świadczyło, że mówi prawdę. I choć to, o co prosił, miało posmak skandalu – potajemny ślub o północy z konającym szlachcicem – Edwina zaczęła się zastanawiać nad prośbą. Nie sposób było przecież nie współczuć i porucznikowi, i owej nieznannej damie, która wraz z dzieckiem mogła stać się całkowicie zależna od człowieka pozbawionego zasad moralnych.

– Przyznaję, że trudno mi zbagatelizować tę sytuację – odezwała się po chwili. – Proszę mi jednak powiedzieć, panie poruczniku, co stanie się, jeśli spełnię prośbę porucznika Hampdena, a on, oby Bóg tak chciał, przeżyje?

– Wtedy, jeśli oboje będziecie sobie tego życzyć, rozwiążecie państwo umowę małżeńską, a ślub państwa zostanie utrzymany w tajemnicy.

– Rozwiążemy umowę i rozejdziemy się, ot tak, po prostu? Nie sądzę, żeby kapelan na to przystał.

Sanbrook uśmiechnął się posepnie.

– W innej sytuacji miałaby pani rację, ale kapelan Darrow, który zna dobrze Hampdena i świadom jest jego stanu, postanowił przychylić się do jego prośby. Stawia tylko jeden warunek. Udzieli ślubu, o ile pani zaręczy słowem,

że wstępuje w ten związek małżeński z własnej nieprzymuszonej woli. Pani Denby, chciałem dodać, że jeśli Miles przeżyje, wynagrodzi pani ofiarnością, lecz jeśli nasze nadzieje na jego ozdrowienie się nie spełnią, zostanie pani posażną wdową.

– Panie poruczniku! – krzyknęła gniewnie. – Jeśli zgodzę się na ten krok, nie oczekuję żadnej zapłaty! Uczynię to tylko po to, by ulżyć porucznikowi w jego cierpieniu oraz ze względu na lady Hampden i jej dziecko. Jednak nie zgodzę się na nic, póki nie usłyszę tej zdumiewającej propozycji z ust porucznika Hampdena.

– Oczywiście, pani Denby. Proszę, pośpieszmy się.

Kiedy weszli do namiotu, Edwina pojęła od razu, że lord Sanbrook w niczym nie przesadził.

Mdlący zapach krwi, który dobiegał od pryczy chorego, a także przerażenie na twarzy Wilsona świadczyły aż nadto, że stan lorda Hampdena naprawdę jest krytyczny.

– Chwała Bogu, że już państwo jesteście! – powitał ich Wilson z wielką ulgą i podszedłszy bliżej, dodał półgłosem: – Jest źle, bardzo źle. Wiele razy już myślałem, że to koniec.

Lord Sanbrook pokiwał głową i zwrócił się do drugiego mężczyzny, sierżanta jurysty:

– Sporządziliście już dokument–

– Tak jest, panie poruczniku!

– Jesteście pewni, że żaden sąd nie będzie w stanie go podważyć?

Sierżant chłodno spojrzał na lorda Sanbrooka.

– Zanim zaciągnąłem się do armii Wellingtona, byłem najlepszym adwokatem w Liverpoolu. Nawet najzręczniejszy londyński jurysta, choćby nie wiem jak się starał, nie doszuka się żadnej luki prawnej w tym dokumencie.

Kiedy mężczyźni rozmawiali z sobą, cała uwaga Edwiny skupiła się na człowieku leżącym na pryczy. Jego twarz ściągnięta była z bólu, oddech płytki i urywany, wzrok utkwiony przed siebie, palce kurczowo zaciśnięte na poręczy pryczy. Było dla niej oczywiste, że porucznik tylko dzięki nadludzkiej sile woli zachowuje jeszcze przytomność.

Życie ledwie w nim się tliło, a kiedy skierował ku Edwinie rozpalone gorączką spojrzenie, jej serce ścisnęło się z wielkiego żalu. Wszelkie dylematy natury prawnej, moralnej i obyczajowej natychmiast uleciały jej z głowy.

Szybkim krokiem podeszła do pryczy, wzięła rannego za rękę i lekko ją uścisnęła.

– Panie poruczniku, bardzo się zmartwiłam, kiedy usłyszałam, że został pan ranny.

– Dzięk... dziękuję, pani Denby – wychrypiał. – Dziękuję, że okazała pani zrozumienie, choć przecież wiem, że moja prośba jest... niesłychana.

Jego spocone palce poruszyły się. Ledwie poczuła, że odwzajemnił uścisk.

– Proszę leżeć spokojnie, panie poruczniku. Nie wolno panu na próżno tracić sił. Proszę mi tylko powiedzieć, czy naprawdę pan sobie tego życzy?

– Tak. Czy uczyni mi pani zaszczyt i zostanie moją żoną?

Przepelniona współczuciem do konającego człowieka, zapomniała, czym jest podejmowanie rozsądnej decyzji. Nie myślała już, tylko słyszała swój głos:

– To ja czuję się zaszczycona, panie poruczniku. Przyjmuję pańskie oświadczenia.

– Wspaniale! – wykrzyknął Sanbrook. – Kapelanie Darrow, czy ojciec słyszał? Proszę, przystąpmy do ceremonii.

Z ciemnego kąta wynurzył się wielebny. Skinął Sanbrookowi głową, po czym zwrócił się do Edwiny:



– Jest pani całkowicie pewna, że tego chce?

Rozsądek nagle dał znać o sobie. Poczwała paniczny strach, ale trwało to tylko chwilę, póki znów nie spojrzała na wykrzywioną z bólu twarz Hampdena.

– Tak, ojciec Darrow. Jestem pewna.

– Bardzo dobrze, moje dziecko. Niech Bóg ci błogosławi za twe współczujące serce.

Położył dłoń na złączonych dłoniach Edwiny i Hampdena, zaczął czytać modlitwę. W miarę trwania ceremonii czuła, jak nerwy zaczynają odmawiać jej posłuszeństwa. Z wielkim trudem tłumiała w sobie histeryczny śmiech, kiedy ciężko ranny pan młody chrapliwym głosem powtarzał słowa przysięgi, kiedy jego przyjaciel pomagał mu wsunąć na palec Edwiny ciężki, poplamiony krwią sygnet.

Kapelan ogłosił ich mężem i żoną.

– Pocałunek... zostawimy na potem – wyszeptał pan młody. Zamknął oczy i opadł na poduszkę, jakby nareszcie zrzucił z siebie ogromny ciężar.

Przez jedną przerażającą chwilę Edwina była pewna, że życie w jej dopiero co poślubionym małżonku zgasło, zauważyła jednak, że pierś porucznika unosi się i opada.

Odrętwiała i oszołomiona, usiadła ciężko na stołku. Kapelan życzył jej szczęścia, potem uczynił to prawnik i obaj pośpiesznym krokiem opuścili namiot.

– On na zawsze pozostanie pani dłużnikiem – powiedział cicho Sanbrook. – Pani czyn był nadzwyczaj szlachetny.

– Godny największego podziwu – wtórował mu Wheaton. – Ale dla pani musi być to wstrząs. Czy pozwoli pani odprowadzić się do kwatery pani ojca?

Zawahała się. Niezależnie od tego, jakie okoliczności towarzyszyły tej ceremonii, złożenie przysięgi miłości i wierności konającemu człowiekowi, a potem pozostawienie go samemu sobie wydało jej się po prostu gruboskórne i niegodne.

– Kapralu, chcieliście, żeby pomóc wam w pielęgnowaniu... porucznika? Mego męża. Nie, te słowa nie mogły przejść jej przez gardło.

– Tak, pani... lady Hampden. Byłoby mi o wiele łatwiej.

– W takim razie zostanę tutaj. Kula ponoć utkwiała w jego piersi, a więc porucznik powinien leżeć nieruchomo, nie wolno mu zmieniać pozycji. Czy możecie przynieść wody, kapralu? Przemyję porucznikowi Hampdenowi ranę i zrobię zimny kompres na czoło. Może macie tu jakiś mocniejszy trunek? Kiedy porucznik się ocknie, dobrze, żeby wypił chociaż łyk. To uśmierzy ból.

– Lady Hampden... – Lord Sanbrook złożył przed nią głęboki ukłon. – Może ja i Wheaten moglibyśmy być pani w czymś pomocni? Proszę nami dysponować. Chciałem też powiedzieć, że pani poświęcenie jest godne największego podziwu.

Wykonała ręką gest, jakby chciała odpędzić od siebie pochwały.

– Ależ panowie, inaczej nie mogę postąpić. Niezależnie od tego, jak długo będzie trwało to małżeństwo, jestem teraz żoną jego lordowskiej mości.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Żona lorda Hampdena. Gdyby sytuacja nie była tak tragiczna, Edwina zapewne zanosiłaby się od śmiechu. Kto by przypuszczał, że nagle dostanie jej się taki mąż. Przystojny, utytułowany, miły i pełen zalet... Kiedyś, dawno temu, czułaby się jak heroina jednej z tych gotyckich opowieści, które uwielbiała jej matka. Kiedyś, ale nie teraz, bo Daniel, który zdawał się uosobieniem dziewczęcych marzeń, obrócił te marzenia w popiół.

Ale i tak to, co się zdarzyło, można było porównać do bajki podobnej do starych hinduskich legend, jakie opowiadała małej Edwinie jej hinduska piastunka, *ayah*. Wydarzyło się bowiem coś niebywałego – wicehrabia Hampden świadomie popełnił mezalians. W oczach angielskiej socjety Edwina nie dorównywała mu pochodzeniem. Jej ojciec przecież był tylko młodszym synem barona, a matka córką bogatego kupca.

A poza tym... nieraz widziała na przyjęciach porucznika otoczonego wianuszkami słodko szczebioczących miejscowych piękności. Widziała, jak prowadzi do tańca piękną Portugalkę o sarnich oczach. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że ten sam porucznik wsunie obrączkę na palec pewnej Angielki o brązowych włosach i niczym niewyróżniającej się urodzie. Może wyróżniała się tylko wzrostem, ładnymi niebieskozielonymi oczami i obietnicą, że za lat kilka odziedziczy fortunę. Ale porucznik, jeśli wierzyć obozowym plotkom, sam był bajecznie bogaty i wcale nie potrzebował złota jakiegoś nababa\*, żeby podreperować rodowy majątek.

Westchnęła w duchu. Och, gdyby wiedziała od samego początku, jak bardzo Daniel potrzebował jej bogactwa! Gdyby wiedziała... Wtedy wszystko byłoby inaczej...

Na szczęście nowy związek małżeński zawarła jako osoba doświadczona i pozbawiona wszelkich złudzeń, choć wcale niepozbawiona serca. Hampden obdarzył ją wielkim zaufaniem, ona odpłaci mu się za to, otaczając swego tymczasowego małżonka najlepszą opieką.

\* Nabab – też: Europejczyk, który zbił majątek w Indiach; bogacz.  
(Przyp. tłum. )

Do namiotu wszedł lord Sanbrook.

– Proszę, przyniosłem wodę. Chciałem też powiedzieć, że rozmawialiśmy z Wilsonem i doszliśmy do wniosku, że kiedy pani skończy, Wheaten odwiezie panią na kwaterę. A my będziemy czuwać przy Hampdenie całą noc.

Czyli chcą jej oszczędzić widoku, kiedy porucznik będzie wydawał ostatnie tchnienie, jakby dla niej, która tak ofiarnie pielęgnowała ciężko rannych żołnierzy, ten smutny widok był nowością...

– Zostanę tutaj, panie poruczniku, dopóki starczy mi sił. Potem z wdzięcznością skorzystam z towarzystwa porucznika Wheatena. O, widzę, że przyniósł pan brandy. Dziękuję.

Odebrała od Sanbrooka miskę z wodą oraz butelkę z trunkiem, odstawiła na bok i pochyliła się nad Hampdenem. Była pewna, że jest nieprzytomny, ale kiedy ostrożnie rozchyliła poły jego kurtki i zaczęła przemywać zakrwawioną pierś, poruszył się.

– Dzię... dziękuję – wymamrotał.

Nie stracił przytomności. To dobry znak.

– Może napije się pan wody, panie poruczniku? Leży pan wysoko na poduszkach. Potrzymam kubek i mógłby pan się napić.

Prawie niezauważalnie skinął głową, potem z wielkim trudem wypił jeden łyk. Kiedy zaproponowała następny, odmówił, podobnie jak brandy, a

potem już tylko jego zaciśnięte zęby świadczyły, ile kosztuje go zachowanie milczenia podczas przemywania ran.

Starła się zrobić to jak najdelikatniej i jak najszybciej. Kiedy skończyła, Hampden nagle chwycił ją za rękę.

– Proszę... – wyszeptał – niech pani nie odchodzi. Niech pani zostanie i mówi do mnie...

Musiał słyszeć, jak lord Sanbrook sugerował, żeby Edwina zaraz po oporządzeniu rannego wróciła do swojej kwatery. A on chciał, żeby została. W jej sercu, znów wezbrany wielkim współczuciem, natychmiast zapadła decyzja. Naturalnie, że zostanie i będzie czuwać przy nim. Robiła to już wielokrotnie. Po prostu siedziała przy konającym i mówiła do niego, w tych najtrudniejszych chwilach dając ukojenie, kojarząc mu się z żoną czy siostrą, z domem rodzinnym, którego już nigdy nie zobaczy.

– Oczywiście, że zostanę, panie poruczniku. Będę czuwać przy panu. Czy chciałby pan porozmawiać?

– Tak. Proszę opowiedzieć mi o... o sobie.

Nie było nic dziwnego w tym, że porucznik chciał dowiedzieć się czegoś o kobiecie, którą nagle poślubił, niestety Edwina nie bardzo miała ochotę opowiadać mu swoje dzieje, zwłaszcza te całkiem nieodległe. Dlatego starała się przedstawić to możliwie jak najkrócej.

– Mój ojciec, jako człowiek bardzo jeszcze młody, opuścił Anglię i popłynął do Indii. Tam wstąpił do wojska, a po jakimś czasie poznał moją matkę, córkę zamożnego kupca z East India Company. Urodziłam się w Bombaju. Mieszkaliśmy tam, póki regiment ojca nie został odkomenderowany na Półwysep. Krótco przed wyjazdem z Indii poznałam młodego oficera, Daniela Denby'ego, i wyszłam za niego za męża. Daniel zginął podczas bitwy pod Talaverą.

– Daniel Denby... – Powieki Hampdena drgnęły. – Syn lorda Alveneya?

Edwina zeszywniała. Czyżby porucznik słyszał coś na temat jej małżeństwa?

– Tak. Syn lorda Alveneya.

– To dobra rodzina. – Hampden zamknął oczy.

– Tak – przytaknęła ponownie, uspokojona, że kulisy jej małżeństwa z Danielem nie są znane porucznikowi. A co do rodziny Daniela... Och, na pewno był to ród znakomity, Daniel nie omieszkiał jej przypominać o tym przy byle sposobności, także o wielkim szczęściu, jakie ją spotkało, gdy została jego żoną. – Po śmierci Daniela postanowiłam zostać tutaj i pomagać mojej matce zadbać o ojca. Mama jest kobietą o gołębim sercu, nigdy na nic się nie uskarża nawet w najcięższych warunkach, niestety, nie jest osobą zbyt praktyczną.

Powieki porucznika znów drgnęły.

– A pani... pani jest osobą praktyczną?

– Tak. Potrafię urządzić wygodną kwaterę i w szopie, i w namiocie, wszędzie, a także wyczarować smaczny obiad dosłownie z niczego. Zadbać, żeby na papę po powrocie ze służby zawsze czekał buzujący ogień i gorący, mocny trunek.

Zaradność była jedyną zaletą, jaką cenił w niej Daniel, tę umiejętność stworzenia wygodnej oazy wśród chaosu wciąż przemierzającego się wojska.

– Wspaniała zaleta... u żony... – Po jego twarzy przemknął nikły uśmiech.

Nie była pewna, czy nie drwi z niej, dlatego postanowiła zmienić temat.

– O mnie to już wszystko. Czy jest jeszcze coś, o czym chciałby pan porozmawiać?

– Tak. Pani czuwała kiedyś przy moim przyjacielu. Bardzo panią chwalił. Opowiadała mu pani ponoć bardzo piękne legendy...

– Indyjskie?

– Tak. Opowie mi pani?

– Oczywiście! – Czując wielką ulgę, że poniechali tematów osobistych, namówiła Hampdena na jeszcze jeden łyk wody, po czym z powrotem usiadła na krześle. Przykryła swoją małą dłonią dużą, bezwładną dłoń spoczywającą na białym prześcieradle i zaczęła snuć swoją opowieść:

– Dawno, dawno temu żył sobie królewski syn, ksiązę Rama. Kiedy wyrósł na pięknego młodzieńca, król wysłał go do sąsiedniego królestwa, którego władca szukał męża dla swej córki, pięknej księżniczki Sity. Szukał dla niej księcia silnego, męznego i mądrego. Do zawodów o rękę nadobnej księżniczki stanęło wielu książąt, ale tylko Ramie udało się wykonać wszystkie zadania, jakie postawił przed nimi ojciec Sity. Wkrótce księżniczka zakochała się w bystrym Ramie, a on zakochał się w niej. Ojciec Sity wyprawił im wspaniałe wesele i Rama wraz z małżonką powrócił do królestwa swego ojca, który wówczas oznajmił wszystkim, że zamierza synowi oddać tron. Nie spodobało się to drugiej żonie króla, dlatego natychmiast mu przypomniała, że kiedyś obiecał spełnić jej dwa życzenia. A ona właśnie teraz ma dwa życzenia. Po pierwsze, królestwem rządzić będzie nie Rama, lecz jej syn, a po drugie, Rama zostanie wypędzony z królestwa. Młody ksiązę, tak samo odważny co i honorowy, uznał, że ojciec musi dotrzymać słowa. Prosił tylko, by jego ukochana żona mogła pozostać w królestwie, bo nie chciał narażać jej na niebezpieczeństwo i niewygody w leśnych ostępach. Sita jednak wcale nie zamierzała rozstawać się z mężem. – Przerwała na chwilę.

– Każde stworzenie, każdy przedmiot ma swój cień, tak samo nierozłączni są mąż i żona.

Pozwól sobie towarzyszyć, mój mężu. Będę szła przed tobą i wyrównywała ścieżkę, po której będziesz kroczył...



Niski, melodyjny głos Edwiny wypełniał cały namiot. Głowa lorda Sanbrooka opadła na pierś, Wheaten zaczął cicho pochrapywać. Ciało Hampdena jakby rozluźniło się, oddech cichł, był coraz płytszy.

Odchodzi... W oczach Edwiny zakręciły się łzy. Ostatnia posługa przy konającym... Zamilkła, podniosła rękę, żeby je otrzeć, i wtedy napotkała wzrok porucznika.

– Proszę... niech pani mówi dalej...

Do końca tej długiej nocy Edwina niezmordowanie snuła opowieść o przygodach księcia Ramy i jego żony. Kiedy niebo zaczynało szarzeć, jej głos był zachrypnięty, gardło obolałe. Tak samo bolało serce. Nie potrafiła dłużej powstrzymać łez. Spłynęły strumieniem po jej policzkach. Gorzkie łzy pożegnania, epitafium dla dzielnego żołnierza, jej męża...

– Lady Hampden... – usłyszała cichy szept lorda Sanbrooka. – Uczyniła pani dla niego bardzo dużo. Znów stracił przytomność, to już niedługo... Proszę, niech pani jedzie już do domu. Wheaten będzie pani towarzyszył. Ja zostanę przy Milesie do końca.

Skinęła głową i ostrożnie wysunęła palce z bezwładnej, ale nadal ciepłej dłoni, w której spoczywały całą noc. Wstała, pochyliła się nad Hampdenem i musnęła wargami jego rozpalone czoło.

– Zegnaj, mój mężu...

Tańczyła walca, kołysząc się w ramionach młodego, rosnącego mężczyzny, swego świeżo poślubionego małżonka. Tańczyła oszołomiona szczęściem, posyłając radosne uśmiechy rozpromienionym rodzicom, usadowionym na poczesnych miejscach za wielkim stołem w namiocie rozstawionym na terenie kwatery regimentu papy w Bombaju. Wszędzie dookoła przemykali w tańcu mężczyźni w czerwonych mundurach, pobrzękując medalami i trzymając w pól kobiety w pięknych sukniach we wszystkich barwach tęczy.

Małżonek obejmował ją skandalicznie mocno, jej ciało wtopione było w jego rosłe, umięśnione ciało. Tańczyła pełna radosnego oczekiwania na chwilę, gdy wreszcie umkną stąd do sypialni, a tam, wśród westchnień i pocałunków, pozbędą się garderoby. I wreszcie wzajemnie poznają swe ciała, cal po calu...

Podniosła głowę, pragnąc obdarzyć ukochanego uśmiechem. Nagle pojęła, że wcale nie jest w Bombaju, lecz w skrzącej się blaskiem świec sali balowej w Lizbonie. Zamiast ponurego oblicza Daniela ujrzała nad sobą inną twarz, uśmiechniętą i radosną, i oczy niebieskie, pełne miłości i oczekiwania...

Twarz Milesa Hampdena...

Obudziła się, z trudem łapiąc oddech. Jej policzki płonęły. Ten sen był tak wyrazisty! Jak to się stało, że w jej głowie nagle powstał taki chaos?– Przecież porucznika Hampdena widywała przedtem nieraz. Owszem, zawsze przyciągał jej wzrok, jak i wzrok wszystkich innych kobiet. Skąd więc nagle ten jakże skandaliczny sen związany z jego osobą?

Nagle przypomniała sobie wszystko. Północ. Lazaret skąpany w czerwieni krwi i blasku świec. Pośpieszny ślub.

Miles Hampden jest jej mężem.

Po ceremonii lekko uściskał jej palce. Był to jedyny czuły gest z jego strony. Dlaczego więc na wspomnienie tego uścisku jej palce drżą?

Nie powinny. Ten sen to tylko ulotna fantazja, wytwór zmęczonej głowy. Powinna wstać, ubrać się i wyjaśniewszy matce zaistniałą sytuację, wrócić do lazaretu, żeby pielęgnować męża.

O ile nadal żyje...

Ubrała się błyskawicznie. Długie, bujne brązowe loki zdążyła przeczesać tylko raz, ktoś bowiem głośno zastukał do drzwi wejściowych. Rzuciła szczotkę i wybiegła z sypialni.

W progu stał porucznik lord Sanbrook, starając się przekonać pokojówkę mamy, Portugalkę, żeby pozwoliła mu wejść. Jedno spojrzenie na jego poszarzałą twarz i podkrążone oczy wystarczyło, żeby serce Edwiny podskoczyło do gardła.

– Panie poruczniku, czy on...

Twarz lorda pojaśniała w szerokim uśmiechu.

– Czuje się o wiele lepiej! Proszę jechać ze mną! Przekona się pani na własne oczy.

Z sypialni rodziców wybiegła pani Crofton, prosto ze snu, w obszytym falbankami peniuarze i koronkowym czepeczku na jasnych lokach.

– Cóż to za zamieszanie? Co się stało? Kto czuje się lepiej?

Zanim Edwina zdążyła odpowiedzieć, wyręczył ją w tym Sanbrook:

– Pani zięć.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Edwina, widząc pobladłą z wrażenia twarz matki, spojrzała groźnie na Sanbrooka, nakazując mu milczenie, potem lekko skinęła na pokojówkę.

– Juanito, proszę podać nam kawę.

Dziewczyna dygnęła, jej czarne oczy błyszczały z podniecenia. Edwina jęknęła w duchu. Angielski Juanity może i nie był doskonały, jednego jednak mogła być pewna. Wystarczy, że pokojówka raz pójdzie do studni po wodę, a już cały obóz szeptać będzie o potajemnym ślubie o północy.

Aż wzdrygnęła się na tę myśl, jednak rzekła opanowanym głosem:

– Bardzo proszę, może usiądziemy? Lordzie Sanbrook, chciałabym najpierw rzecz całą wyjaśnić mojej matce, a potem z wielką przyjemnością będę panu towarzyszyć.

Zasiedli przy stole. W milczeniu poczekali, aż Juanita poda kawę. Potem, popijając gorący aromatyczny napój, Edwina pokrótce przedstawiła matce wypadki minionej nocy, stwierdzając na koniec:

– Jak już powiedział lord Sanbrook, porucznik Hampden jest na najlepszej drodze do odzyskania sił. Wszystko, co się wydarzyło, będzie można odwrócić, uznać sprawę za niebyłą. Dlatego bardzo proszę, mamó, nie mów nic ojcu. Dobrze? Proszę, mamó...

– Moja córka potajemnie wyszła za mąż! – wykrzyknęła matka. – Och, jakież to deprymujące!

– Proszę się nie martwić, pani Crofton, wszystko odbyło się jak należy. Ślubu udzielił nasz kapelan – zapewnił ją lord. – Niezależnie od tego, jak dalej się to potoczy, pani córka ani jej nazwisko na tym nie ucierpią.

– Moja córka wyszła za mąż... – Nagle pani Crofton rozpromieniła się. – Wyszła za mąż, i to za kogo! Za tak wspaniałego młodego człowieka!

– Ależ mammo! – wykrzyknęła Edwina. – Przecież to nie był prawdziwy ślub!

– Ślub to ślub – oświadczyła matka z błyskiem w oku. – Przynajmniej ja tak na to patrzę!

Edwina westchnęła i wstała z krzesła.

– Porozmawiamy o tym później, mammo. Teraz muszę jechać do lorda Hampdena. Panie poruczniku, czy doktor MacAndrews wrócił już do obozu ?

– Tak, wczesnym rankiem – odparł Sanbrook. – Okazało się, że odłamki utkwily tuż pod łopatką, a to oznacza, że rana nie jest tak groźna, jak myśleliśmy. Miles wymaga troskliwej opieki, ale jego życiu nic nie zagraża.

– To cudowna wiadomość! – zawołała szczerze. Wolała przecież, żeby jej pośpieszne małżeństwo zakończyło się ugodowym rozstaniem, a nie śmiercią męża.

– Jedziemy, lady Hampden? Miles pytał już o panią.

– Lady Hampden... – Pani Crofton wpatrywała się w córkę roziskrzonym wzrokiem. – Och, jak to pięknie brzmi!

– Tylko proszę, nie przyzwyczajaj się do tego, mammo! Niebawem znów będę tylko panią Denby – rzuciła ostrym głosem Edwina, spoglądając też znacząco na Juanitę. Pokojówka zarumieniła się i zwiesiła głowę. Czyli wieść o ponownym zamążpójściu pani Denby zaczęła już krążyć po obozie. Trudno. Jeśli Bóg będzie łaskawy, pozwoli porucznikowi szybko wrócić do sił, małżeństwo zostanie rozwiązane i ludzie szybko o wszystkim zapomną.

Pokrzepiona tą myślą przyjęła ramię lorda Sanbrooka. Kiedy tylko przekroczyli próg, odezwała się półgłosem:

– Zapewniam pana, że mimo tych... romantycznych uwag mojej matki, zamierzam dotrzymać warunków umowy, jaką zawarłam z lordem

Hampdenem. On też pewnie życzy sobie jak najszybszego rozwiązania tego małżeństwa.

– Sądzę, że tak, chociaż... Byłem pewien, że Hampden uczyni to natychmiast, gdy tylko stan jego zdrowia ulegnie poprawie, tymczasem wcale tej kwestii nie poruszył. Powiedział tylko, że życzy sobie, by traktowano panią z szacunkiem należnym jego małżonce. Tak więc... – Lord Sanbrook uśmiechnął się szeroko. – Lady Hampden, czy pozwoli pani pomóc sobie przy wsiadaniu na konia?

Zdumiona uniosła brwi. Zdumiona, a jednocześnie bardzo niezadowolona. Można się było spodziewać, że bogaty arystokrata, jakim był Hampden, zawsze będzie zaznaczał swoje prawo własności, nawet jeśli przysługuje mu tylko na krótki czas. Szkoda jednak, że nie pomyślał o tym, co byłoby najlepsze dla jego żony nieżony. Stanowczo wolałaby, żeby wszystko, co dotyczy ich krótkotrwałego małżeństwa, łączyło się z największą dyskrecją. Przecież i tak po odjeździe Hampdena będzie musiała stawić czoło nieprzyjemnym plotkom.

Chwilę później zganiła się w duchu. Nie wolno jej pochopnie oceniać porucznika, tym bardziej że miała już sposobność poznać go z najlepszej strony. Przecież zdecydował się na krok tak drastyczny, mając na względzie dobro rodziny zmarłego brata.

Osoby z najbliższej rodziny, ze swojej sfery... Ciekawe, co pomyśli, kiedy teraz, w pełnym świetle dnia, zobaczy, kogo poślubił...

Na wspomnienie doznanych kiedyś upokorzeń łzy napłynęły jej do oczu, opanowała się jednak. Nie ma już tamtej dziewczyny, rozmarzonej, o czułym sercu, które tak łatwo dało się złamać. Teraz Edwina Denby jest osobą rozsądną i rzeczową, oboje z Hampdenem będą więc w stanie bez zbędnych emocji z powrotem rozdzielić swoje losy.

Kiedy dojechali do lazaretu, lord Sanbrook pomógł jej zsiąść z konia, a potem oznajmił:

– Miles pragnie rozmawiać z panią w cztery oczy, naturalnie jeśli pani wyrazi zgodę.

Czując nagle zakłopotanie, usiłowała pokryć to żartem.

– Sam na sami No cóż... Sądzę, że wicehrabia jest w takim stanie, że z jego strony nic mi nie grozi!

– Wobec tego pozwoli pani, że się oddalę – stwierdził z ulgą.

Odprowadziła wzrokiem jego wysoką, sprężystą postać i wolnym krokiem podeszła do namiotu. Jakoś wcale nie kwapiąc się z wejściem do środka. Niestety musiała to uczynić i ponieść konsekwencje swojej jakże pochopnej decyzji...

W środku czekała ją niespodzianka tak wielka, że słowa powitania uwięzły jej w gardle. Lord Hampden w ciągu kilku zaledwie godzin przeszedł metamorfozę. Rosłe ciało ułożone było swobodnie na pryczy, prezentując się w całej okazałości. Twarz, przedtem poszarzała i wykrzywiona z bólu, teraz wygładziła się. Tylko bladość świadczyła o przeżytych cierpieniach. Wszystko wskazywało na to, że porucznik ma zamiar całkowicie wydobrzeć.

Powitał Edwinę czarującym uśmiechem.

– Oto moja małżonka! Witam! I zapraszam!

Wyglądał... Jak to określić? Jakby był o wiele większy niż minionej nocy. Większy i taki męski, władczy. Wyglądał tak, jak absolutnie nie miał prawa wyglądać człowiek, który wczoraj wieczorem postrzelony został w plecy.

Trudno uwierzyć, że ten wspaniały mężczyzna jest jej mężem... Nagle Edwinie przypomniał się niedawny sen. Sen o tym, jak tańczy walca w ramionach Hampdena, jak ich ciała ocierają się o siebie, a ona czuje żar. Teraz też, jak w tym śnie, płomień w niej rozgorzał...



Czuła, że jej policzki oblewają się rumieńcem. Och, może rzeczywiście powinna rozważyć możliwość ponownego zamążpójścia, skoro odczuwa tak lubieżne zachcianki!

Na pewno jednak musi zapomnieć o związku ze szlachetnie urodzonym i uwodzicielskim wicehrabią Hampdenem. Wystarczy, że już jedno jej małżeństwo z arystokratą okazało się katastrofą.

A więc to była ta młoda dama, którą poślubił w nocy. Naturalnie wiedział, kim ona jest, ale znajomość była bardzo powierzchowna. Nigdy na tę kobietę nie zwrócił szczególnej uwagi, dlatego teraz przyjrzał jej się uważniej. Była wysoka, szczupła, ruchy miała bardzo wdzięczne. Twarz owalna o ładnych rysach i bardzo jasnej karnacji. Spod kapelusza wymykały się jasnobrązowe loki. Policzki pokrywał delikatny rumieniec.

A oczy... Ogromne, błyszczące, niebieskawo-zielone jak wody oceanu u wybrzeży Portugalii.

W tych oczach było coś hipnotyzującego, tak samo jak w niskim, melodyjnym głosie, pełnym osobliwej słodyczy. Tej nocy ten głos opływał jego dręczone bólem i zgryzotą ciało. Przynosił ulgę. Nie pozwalał poddać się demonom i oderwać się od ziemi.

Ku jego zdumieniu jego małżonka, zanim zajęła miejsce na stołku obok pryczy, złożyła ukłon.

– Dzień dobry, milordzie. Jakie to szczęście widzieć pana w znacznie lepszej kondycji.

Czyli postanowiła być bardzo oficjalna, a ponieważ sam nie bardzo wiedział, jak się zachować, zdecydował, że też zacznie właśnie od tego. Od części oficjalnej.

– Dziękuję, lady Hampden. Jestem szczęśliwy, że najgorsze mam za sobą. – Uśmiechnął się lekko. – Mam do pani wielką prośbę. Czy nie mogłaby pani zwracać się do mnie po imieniu? Miles, po prostu Miles.

Po jej twarzy przemknął uśmiech.

– Bardzo pan miły, milordzie, ale wydaje mi się to zbyt uczynne. Zręczniejszy chyba będzie, jeśli pozostaniemy dla siebie zwykłymi znajomymi, nieprawdaż? Sądzę, że obojgu nam zależy na jak najszybszym rozwiązaniu umowy i ślubów, jakie złożyliśmy wczoraj pod wpływem niezwykłych okoliczności.

– Obawiam się, że nie będzie to łatwe. Z naszą umowę przedmażeńską nie ma kłopotu. Jesteśmy tak daleko od Anglii, że moglibyśmy ją po prostu podrzeć. Jednak przysięga, jaką złożyliśmy przed sługą bożym, niezależnie od okoliczności, jest wiążąca bardziej niż jakiegokolwiek umowy.

W zielonkawych oczach błysnęło, powieki z gęstymi, czarnymi rzęsami zatrzepotały. Jak skrzydła motyla, pomyślał Miles.

– Pojmuję, milordzie. Czy to znaczy, że musimy zwrócić się do Kościoła o anulowanie małżeństwa?

– Tak, choć ta procedura nigdy nie jest łatwa. Sądziłem wprawdzie, że w tych okolicznościach, dalekich od normalnych, kapelan Darrow będzie mógł tego dokonać, niestety, kiedy poprosiłem go o to tego ranka, powiedział mi, że choć bardzo współczuje nam z powodu zaistniałej sytuacji, zrobić tego nie może i radzi nam zwrócić się do przedstawiciela biskupa, który rezyduje w Lizbonie.

– Och...

– Trochę więc to potrwa. Zamierzałem nasz ślub utrzymać w tajemnicy, lecz wieść szybko się rozeszła. Byli już u mnie przyjaciele z mojej kompanii, by świętować moje ozdrowienie lub pocieszać wdowę, zależnie od rozwoju sytuacji. Nie pozostawało mi nic innego, jak potwierdzić, że nie jestem już w

stanie bezzennym i dać im do zrozumienia, że mają okazać pani taki sam respekt, jakby ślub nasz odbył się w rodzinnej kaplicy Hampdenów albo w kościele świętego Jerzego.

– Jestem panu wdzięczna, milordzie. Dzięki temu nikt nie będzie mnie oczerniał ani wysuwał żadnych insynuacji.

Zadowolony, że jego poczynania zyskały aprobatę, uśmiechnął się, starając się przy tym, żeby był to jeden z jego najbardziej czarujących uśmiechów.

– A nie mogłaby pani spróbować powiedzieć do mnie Miles?

Potrząsnęła energicznie głową.

– Porucznik albo Hampden. Tak jest bardziej stosownie.

– Czyli jak na razie będę musiał zadowolić się Hampdenem. Trudno. I mam jeszcze jedną prośbę. Ponieważ przez jakiś czas będziemy związani z sobą, chciałbym, aby pani jak najwięcej czasu spędzała tutaj. Żona zwykle opiekuje się rannym mężem, a my, zachowując się naturalnie, unikniemy zbytnej ciekawości czy złośliwych uwag różnych ludzi. Poza tym dzięki temu poznamy się lepiej i łatwiej będzie nam rozwikłać nasze problemy.

– Chciałabym, aby stało się to jak najprędzej. Jak najprędzej chcę uwolnić się od niego...

Jego miłość własna doznała niejakiego uszczerbku, jednak pogodna natura wzięła górę, rzucił więc z żartobliwą urazą:

– Sądziłem, że jako osoba utytułowana i zamożna jestem dobrą partią!

– Oczywiście, milordzie, ale pojmuje pan, że zależy mi na jasnej sytuacji. Nie żałuję tego, co uczyniłam. Sądzę, że okoliczności, jakie skłoniły mnie do tego kroku, spotkają się z powszechną aprobatą i moja reputacja na tym nie ucierpi. Chciałam jeszcze wspomnieć... Mam nadzieję, że wczoraj w rozmowie z lordem Sanbrookiem wyraziłam się dostatecznie jasno. Otóż nie oczekuję

żadnej rekompensaty oprócz kilku słów podziękowania za wspieranie pana w tych trudnych chwilach.

– Pani uczyniła o wiele więcej. Dzięki pani pozostałem wśród żywych.

– Nie sądzę. O ile wiem, doktor MacAndrews stwierdził, że życie pana nie było zagrożone.

– Było, minęło. Może nie wracajmy już do tej nocy. Tylko ponawiam moją prośbę. Bardzo chciałbym, żeby opiekowała się pani mną, póki nie nabiorę sił na tyle, by jechać do Lizbony. Chciałbym, żeby pani uczyniła to z powodów, które już przedstawiłem, a także dlatego, że robi to pani wprost nadzwyczajnie... – Aż sam się dziwił, że tak bardzo mu na tym zależy. – Obiecuję, że nie będę sprawiał wiele kłopotu – przyznał się. – No i koniecznie chciałbym usłyszeć dalszy ciąg pani opowieści.

Na twarzy Edwiny pojawił się promienny uśmiech. Nareszcie!

– Nie wydaje mi się, żeby pan cokolwiek zapamiętał.

– Zapamiętałem! Wszystko, proszę mi wierzyć! Była to niezmiernie interesująca opowieść o mężnym księciu i jego wiernej młodej żonie, o tym, jak księżę wygnany został ze swego królestwa... Musi mi pani opowiedzieć to do końca!

– Naprawdę? – spytała z niedowierzaniem.

– Jestem bardzo ciekaw. Ta legenda przypomina mi trochę greckie eposy, które studiowałem w Oksfordzie.

– Opowieści o Ramie są prawie tak samo stare. Moja *ayah* opowiadała mi je niezwykle barwnie, to ona zaszczepiła we mnie miłość do świata fantazji. Byłam dzieckiem raczej nieśmiałym, lubiłam zaszyć się w kącie i zatapiać w książkach. Czytałam je zachłannie, tak zresztą jest do dziś.

– Nie miała pani rodzeństwa, które zachęcałoby panią do wspólnych psikusów?

– Niestety nie. Indyjski klimat jest surowy. Moja matka oprócz mnie urodziła jeszcze troje dzieci, lecz wszystkie zmarły w wieku niemowlęcym. Moje dzieciństwo było raczej samotne. Kiedy byłam już starsza, guwernantka, znając moje zamiłowania, zachęciła mnie, bym wstąpiła do kółka literackiego dla pań.

– Pojmuję. I uważam, że dla damy z kółka literackiego najlepszym zajęciem jest zabawianie rannego męża, który stara się odzyskać siły.

Ogromne oczy koloru oceanu spojrzały na niego znacząco.

– Tymczasowego męża – powiedziała z wyraźnym naciskiem.

Miles uśmiechnął się szeroko.

– To się dopiero okaże. Nie mam zamiaru jeszcze uczynić pani wdową.

Ogromne oczy otworzyły się jeszcze szerzej.

– Wcale nie o tym myślałam! Świetnie pan o tym wie! Po prostu droczy się pan ze mną!

Do dalszej konwersacji nie było sposobności, ponieważ do namiotu właśnie wszedł doktor MacAndrews.

– O, widzę, że jest pan już w wystarczająco dobrej kondycji, żeby zabawiać damy! – rzucił ze śmiechem. – Bardzo się cieszę. Jak to dobrze, że pani tu jest, pani Denby. Czy mogłaby pani asystować mi podczas badania?

– Lady Hampden – sprostował łagodnym, lecz stanowczym głosem Miles.

– Proszę wybaczyć – sumitował się doktor. – Nie chciałem nikogo urazić. Ale z Edwiną... pardon, z lady Hampden znam się od dawna, a ta zmiana nastąpiła tak gwałtownie, że trudno mi... och, nieważne. Jeszcze raz proszę o wybaczenie. Lady Hampden, czy mogę prosić panią o pomoc?

Zanim doktor zaczął badanie, Miles bardziej niż chętnie przyjął pomoc żony podczas układania się z powrotem na poduszkach.

– Obie rany wyglądają dobrze – oznajmił MacAndrews, zawiązując końce ostatniego bandaża. – Mam nadzieję, że wyjąłem wszystkie odłamki, choć całkowitej pewności nigdy mieć nie można. Porucznik może gorączkować przez jakiś czas, ale jeśli temperatura wzrośnie gwałtownie, oznaczać to będzie, że jakiś odłamek jednak pozostał. Domyślam się, że pan i pańska... małżonka pragniecie jak najrychlej ruszyć do Lizbony, powinniście jednak pozostać tu jeszcze co najmniej tydzień. Wolałbym zyskać pewność, że rany są wygojone.

Miles, o dziwo, wcale nie protestował.

– Wyjedziemy wtedy, kiedy pan na to zezwoli, doktorze – powiedział słabym głosem.

– Hampden! – Położyła rękę na jego czole. – Żle się pan czuje? Przyniosę panu wody.

Naturalnie, że nie czuł się znakomicie. Jak na człowieka, który parę godzin temu omal nie wyciągnął kopyt, napracował się nieźle, by na swojej małżonce uczynić jak najlepsze wrażenie. Teraz jednak zrobiło mu się słabo, mimo to zdołał ucałować dłoń Edwiny.

– Dziękuję – mruknął. – Bardzo pani dla mnie łaskawa...

Zaskoczona, przez chwilę wpatrywała się w swoją rękę, potem odwróciła się i razem z doktorem wyszła z namiotu.

Miles z wielką ulgą opadł na poduszki. Przymknął oczy, dzięki czemu namiot przestał wirować. Był zadowolony z siebie. Jego małżonka zgodziła się go pielęgnować, spędzą więc z sobą sporo czasu, który Miles zamierzał wykorzystać na realizację swego najnowszego pomysłu. Edwina bez wątplenia wykazywała się rozsądkiem, dążąc do jak najszybszego rozwiązania małżeństwa zawartego w niezwykłych okolicznościach z człowiekiem, którego prawie nie знаła. Jej stanowczość w tej kwestii raniła nawet jego miłość

własną. Jednocześnie jednak żona zaimponowała mu swoją niezależnością i brakiem obaw co do konsekwencji towarzyskich. A także bezinteresownością, wiedzieć przecież musiała, że jako wicehrabina wiodłaby łatwiejsze życie, zyskując przy tym należne tej pozycji przywileje.

Niemniej zdecydowana była na jak najszybsze rozwiązanie ich małżeństwa, gdy tymczasem jemu wcale nie było do tego tak spieszno. Kiedy dotarło do niego, że przeżyje, znów przypomniał sobie o konieczności spłodzenia dziedzica. Żonę udało mu się już zdobyć, więc teraz może rozsądnie byłoby ją przekonać, czy nie warto ten tymczasowy związek uczynić trwałym...

Wracając z wiadrem pełnym wody do namiotu, Edwina miała chwilę czasu na smętne rozmyślenia. Jej tymczasowy mąż wcale jeszcze nie ozdrowiał. Wrażenie tężyzny uzyskał tylko i wyłącznie dzięki sile woli. A wolę miał żelazną i znakomicie umiał do niej naginać innych. Doktor bez kwestii pozwolił mu jechać do Lizbony już za tydzień, ona zaś właściwie bez kwestii zgodziła się przez ten czas mieć pieczę nad małżonkiem.

Wcale nie była zachwycona perspektywą długich godzin sam na sam z mężczyzną, który bardzo jej się spodobał. Jakże jednak miał jej się nie podobać, skoro był to człowiek pełen zalet? Kawalerzyści, którzy służyli pod jego rozkazami, chwalili go za męstwo i bystrość, a któż miałby znać go lepiej niż ludzie, których prowadził do boju?

Jej zaś dał się już poznać jako człowiek opiekuńczy. Świadczy o tym fakt, że wcale nie robi z ich ślubu tajemnicy, a to dlatego, by chronić Edwinę przed plotkami i złośliwymi komentarzami. Jest też sympatyczny, przyjazny i otwarty na innych, na przykład żywo zainteresował się jej pobytem w Indiach i tamtejszymi legendami. Tymi samymi, które jeden z chirurgów, gdy usłyszał, jak opowiadała je rannemu żołnierzowi, nazwał pogańską bzdurą.



Uśmiechnęła się. W oczach ludzi z jego sfery ona jako żona nie miała mu nic do zaoferowania, ale przynajmniej nosiła w sobie zapas legend, którymi mogła go zabawiać...

Nagle jej twarz spoważniała. Zerknęła na swą dłoń zaciśniętą na rączce wiadra. Dłoń, którą Hampden przed chwilą ucałował. Ów sympatyczny lord staje się niepokojąco miły, tymczasem anulowanie małżeństwa odsuwa się w czasie, a oni ten czas spędzą razem. Potem lord i tak stąd odjedzie, wróci do Anglii, ona natomiast zostanie tutaj i jeśli nie będzie się miała na baczności, zostanie z czymś o wiele bardziej bolesnym niż głupie plotki.

RRS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Kilka dni później, kiedy Miles obudził się z drzemki, zauważył, że na stołku przy łóżku zamiast jego żony siedzi Allen Sanbrook.

– Co powiesz na piwo? – spytał. – Nic tak nie pomoże ci w odzyskaniu sił jak lekki trunek z ziemi ojczystej!

Miles odebrał od niego kubek i wypił jeden długi łyk.

– Nareszcie – mruknął z zadowoleniem. – Prawdziwie angielski smak.

– Istotnie. – Sanbrook również zdrowo pociągnął ze swego kubka. – Rozmawiałeś już z sierżantem Rigginssem? Zdrowiejesz, przyjacielu, w imponującym tempie. Słyszałem, że doktor zezwolił ci na wyjazd już za kilka dni. Jak rozumiem, chcesz jak najprędzej wyzwolić się z tych więzów. Z umową cywilną nie będzie kłopotów, ale z kościelnymi zobowiązaniami będziesz mógł uporać się dopiero w Lizbonie.

– Na razie nie zamierzam niczego rozwiązywać, Allenie.

– Jak to ? Przecież stan twojego zdrowia nie budzi już niepokoju, to pewne, że przeżyjesz, natomiast twojej żonie bardzo zależy, żeby sprawę rozwiązać jak najszybciej. Wiem, że próbujesz ją chronić przed złośliwymi językami, ale i tak jej sytuacja jest nadzwyczaj kłopotliwa. Im szybciej się z tym wszystkim uporacie, tym szybciej ludzie o tym zapomną. Pamiętaj, że ty wyjedziesz, a ona zostaje tutaj. Jej sytuacja będzie nie do pozazdroszczenia.

Miles odstawił kubek.

– Nie mam zamiaru wyjeżdżać stąd sam.

Oczy Allena Sanbrooka rozszerzyły się ze zdumienia.

– Zaraz! Chyba nie zamierzasz... W żadnym razie nie zamierzam dyskredytować pani Denby, ale...

– Lady Hampden, jeśli łaska – rzucił oschle Miles.

Sanbrook lekko się zaczerwienił.

– Pardon... Lady Hampden, oczywiście... Ach, już wiem, o co ci chodzi! Chcesz, żeby towarzyszyła ci do Lizbony, bo wtedy łatwiej będzie ubiegać się o anulowanie waszego małżeństwa!

– Mylisz się, Allenie. Wcale nie jestem pewien, czy chcę anulować to małżeństwo.

– Co ty mówisz, Miles! – Lord zasepił się. – Wiem, że bardzo cenisz sobie jej pomoc w trudnych chwilach, nie sądzisz jednak, że wdzięczność ma swoje granice? Jej ojciec jest tylko młodszym synem jakiegoś nieznanego barona. Nic dziwnego, że rodzina jej zmarłego męża wcale się do niej nie przyznaje. Pani... lady Hampden ma, owszem, ujmującą powierzchowność i jest bardzo dzielna, ale nigdy nie będzie uważana za odpowiednią małżonką dla wicehrabiego. Pomyśl, co powie twoja babka, kiedy zjedziesz na święta z taką żoną!

Miles uśmiechnął się.

– Moja babka? Otóż moja babka powie, że mam robić to, co uważam za słuszne, a resztą rodziny się nie przejmować. Allen, do diabła! Przecież nie siedzimy nad herbarzem Debretta i nie studiujemy drzew genealogicznych, tylko mówimy o mojej żonie! Mój drogi, kobieta, z którą do końca moich dni mam widywać się codziennie przy śniadaniu, przede wszystkim powinna mi się podobać i wzbudzać mój szacunek. Poza tym, niezależnie od tego, czy Alveneyowie ją uznają, czy nie, Edwina jest ponoć wnuczką prawdziwego nababa. Dziedziczy po nim wielką fortunę, a to zamyka usta najbardziej nadętym snobom. Naturalnie nie dbam o jej majątek, wystarczą mi dobra Hampdenów. Dla mnie ważne jest coś innego... – Z uśmiechem zdjął pokrywkę z żelaznego garnka, który stał na stole, i po całym namiocie rozszedł się smakowity zapach. – Spójrz, co mi przyniosła! Potrawka z kurczaka i

warzyw! Coś takiego w listopadzie, kiedy siedzimy w fortyfikacjach obronnych, tak daleko od Lizbony! Mojemu ordynansowi udaje się zdobyć co najwyżej kilka zeschniętych marchewek, natomiast moja żona jest po prostu czarodziejką!

– Wątpię, czy twoja rodzina doceni umiejętność zdobycia kurczaka w kraju spustoszonego przez wojnę – rzucił Sanbrook z krzywym uśmiechem. – Poza tym nie zapominaj, że w Hampden Glen czeka tłum służby gotowej na każde twoje skinienie. Od twojej żony nie będzie się wymagać gotowania smakowitych potrawek, lecz zajęcia się czymś innym, czymś, do czego lady Hampden zapewne nie bardzo jest przygotowana.

– Wątpię, czy istnieje cokolwiek, z czym lady Hampdon nie potrafiłaby sobie poradzić. Co więcej, Edwina podoba mi się, Allenie. Nie spotkałem jeszcze tak inteligentnej kobiety. Pojmuje wszystko w lot. Nie ma w niej cienia pruderii, jest opanowana i rozsądna, czego najlepszym dowodem jej obecne postępowanie, kiedy okazało się, że dobry uczynek bardzo skomplikował jej życie. Poza tym sam przyznasz, że jest kobietą o miłej powierzchowności, a do tego zgodną, łatwo się z nią dogadać, porozumieć. Nigdy nie upiera się na siłę przy swoim zdaniu, waży racjonalne argumenty, na nich opiera decyzje. Myślę, że moglibyśmy stworzyć całkiem dobre stadło. Stadło z rozsądku. Kto wie, czy nie żylibyśmy lepiej niż większość małżeństw.

– Tak sądzisz... – powiedział z zadumą Sanbrook. – No cóż... Radzę ci się jeszcze nad tym zastanowić, zanim podejmiesz nieodwracalne decyzje, których będziesz potem gorzko żałował. Niebawem znajdziesz się w Londynie, tam otoczą cię kobiety, które bardziej nadają się na żonę dla wicehrabiego. Pamiętaj przy tym, że dama, o której mówimy, od samego początku podkreślała, że zamierza zwrócić ci wolność. Nie jest to sytuacja, w której honor nakazuje ci dotrzymać zobowiązań.

– Wiem, Allenie, że jesteś prawdziwym przyjacielem i szczerze przejmujesz się moją sytuacją – rzucił Miles nieco oschle, sam zdziwiony, jak bardzo ubódł go nieprzychylny stosunek przyjaciela do jego żony. – Dlatego nie czuję urazy, że tak otwarcie wyrażasz swoje opinie, jednak w miarę upływu czasu mam coraz większą pewność, że małżeństwo z tą właśnie damą mnie uszczęśliwi. Kłopot w tym, czy lady Hampden da się przekonać...

– Czy da się przekonać?! – Sanbrook wybuchnął głośnym śmiechem. – Wiesz co, Miles? Chyba jeden z odłamków utkwiał ci w głowie! Bo ja jakoś nie mam co do tego wątpliwości! – Wstał. – Muszę iść, a ty ciesz się piwem i tą swoją nadzwyczajną potrawką.

Odprowadził przyjaciela pełnym zadumy wzrokiem. Allen, człek zacny, lecz niewolnik konwenansów, chyba nie miał racji. Miles czuł, że przekonanie Edwiny, by pozostała jego małżonką, będzie prawdziwym wyzwaniem.

Edwina, mijając się z lordem Sanbrookiem, który wychodził z lazaretu, skinęła mu głową i wkroczyła w półmrok namiotu. Jej mąż, wyciągnięty na swojej pryczy, powitał ją bardzo entuzjastycznie.

– Oto i moja małżonka! Witam! Chciałbym jeszcze raz przekazać słowa największego uznania. Potrawka była wyborna, mój ordynans skręca się teraz z zazdrości. Proszę, niech pani siada.

Policzki jej poróżwiały. Nie przypuszczała, że pochwała z ust Hampdena sprawi jej tak wielką przyjemność.

– Cieszę się, że panu smakowało.

– Bo tak było w istocie. Ale teraz, kiedy jestem już syty, jak to będzie z następną pani opowieścią?

– Nie wolałby pan zagrać w szachy? Papa powiedział, że może pan zatrzymać szachownicę tak długo, jak tylko zechce.

Uśmiechnął się. Ten uśmiech był taki... szalenie intymny, nic więc dziwnego, że poczuła ciarki na plecach. A to z kolei było bardzo głupie.

– O nie! Tylko nie szachy – zaprotestował. – Po tak obfitym posiłku jestem rozleniwiony i pani na pewno wygra, a dwie klęski w tak krótkim czasie to poważna sprawa, najpewniej opóźniłaby moje wyzdrowienie. Dlatego bardzo proszę o dalszy ciąg opowieści. Poprzednim razem skończyliśmy na tym, że Rama został wygnany do lasu, a jego żona, Sita, uparła się, że będzie mu towarzyszyć.

– Właśnie... A więc... pewnego dnia księżę Rama wyruszył na polowanie. Sita miała zostać sama, dlatego Rama narysował na ziemi wokół żony koło i zabronił jej ruszać się z miejsca. W tym kole była bezpieczna. Niestety, tak się zdarzyło, że przez las przechodził zły demon, władca sąsiedniej krainy. Zobaczył piękną kobietę, zachwycił się jej urodą. Jednak Sita, póki stała w kręgu, była dla niego nieosiągalna, demon wykorzystał więc moc przybierania dowolnej postaci. Przemienił się w żebraka i zaczął błagać o jałmużnę. Poruszona jego niedolą Sita wyszła z kręgu i demon ją porwał. Kiedy księżę Rama powrócił z polowania, nie zastał swojej małżonki. Znikła bez śladu. W sercu księcia zagościł największy niepokój...

– Nie dziwię się Ramie. Zniknięcie ukochanej żony to prawdziwa tragedia – odezwał się Hampden głosem tak cichym jak szept. Jego niebieskie oczy pociemniały od emocji. Pochylił głowę. Edwinę najpierw owinął oddech przesycony zapachem piwa i korzennych przypraw, potem poczuła na policzku miękkie, ciepłe wargi...

– Jak to dobrze, że pani tu jest, lady Hampden – z progu powiedział doktor MacAndrews. – Chciałbym prosić, żeby asystowała pani przy badaniu pani małżonka.

Pomyślała, że przybycie doktora okazało się zbawieniem. Chwała Bogu, że zjawił się właśnie teraz! Przecież była już gotowa podać Hampdenowi usta, czyli popełnić niewybaczalny błąd. Dając wyraz swemu coraz większemu zauroczeniu przystojnym wicehrabią, skomplikowałyby jeszcze bardziej i tak już dostatecznie zawikłaną sytuację.

Niemniej jednak, kiedy pomagała doktorowi zakładać na gojącą się znakomicie ranę świeży opatrunek, nie ustrzegła się melancholijnych myśli. Hampden chciał ją pocałować, była tego pewna. Ona zaś, choć starała się ze wszystkich sił, za nic nie mogła zgasić tej iskierki, która rozbłysła w niej, gdy uświadomiła sobie, że chyba nie jest swemu mężowi obojętna...

Dlatego lepiej nie zostawać z nim sam na sam, przynajmniej dzisiaj.

– Po pańskich wizytach Hampden jest nieco zmęczony – powiedziała do doktora. – Zostawię go teraz samego, żeby wypoczął.

MacAndrews roześmiał się.

– Niestety, na większość moich pacjentów wpływam w taki właśnie sposób. Ma jednak pani rację, porucznik powinien odpoczywać jak najwięcej, skoro wkrótce zamierzają państwo ruszyć do Lizbony. Sądzę, że za dzień czy dwa mogą już państwo jechać.

Ruszyła ku drzwiom śladem lekarza.

– Może pomóc panu, doktorze, kiedy pan będzie badał innych rannych? W ostatnim czasie zaniedbałam opiekę nad chorymi, a i panu pomogłam niewiele.

– Mało mam teraz do roboty, lady Hampden. Nadciąga zima, wróg wycofuje się, w całym obozie jest zaledwie kilku rannych. I chwała Bogu!

Lady Hampden! – zawołał za nią małżonek. – Teraz, zgodnie z zaleceniem, prześpię się trochę, proszę jednak potem do mnie zajrzeć. Doktor



zezwoił na nasz wyjazd w najbliższym czasie, w związku z tym chciałbym omówić z panią kilka spraw.

– Wrócę za godzinę. – Z ulgą przekroczyła próg. Nareszcie miała szansę odzyskać panowanie nad sobą, a jednocześnie zasmuciła się. Och, jak niedobrze, że jej przychylność do porucznika Hampdena zwiększa się z zatrważającą prędkością! Lecz nie może być inaczej, przecież to taki cudowny człowiek. Pogodny, potrafi ją rozbawić, a jednocześnie odważny i nadzwyczaj odpowiedzialny, tak bardzo kochany i szanowany przez swoich żołnierzy. O głębokim poczuciu odpowiedzialności świadczy także jego troska o Edwinę, o najbliższych i o rodowy majątek. A to jego spojrzenie... Gdy patrzył na nią

swymi błękitnymi oczami, działał na nią w szczególny sposób. Wyzwał w niej tęsknotę, a także ból, głęboko ukryty, ale dotkliwy, niedający się przepędzić...

Och, jak niedobrze się stało, jak niedobrze...

Stała na głowie, żeby znaleźć tego kurczaka na potrawkę. Pragnęła sprawić porucznikowi miłą niespodziankę, choć nie tylko. Chciała również zaimponować mu swoją zaradnością i usłyszeć z jego ust pochwałę, która sprawiła jej stanowczo zbyt wielką przyjemność.

I po co to wszystko? Przecież pochodzą z różnych sfer. Edwina nie należy do świata, do którego wróci porucznik. Gdyby nadal była jego żoną i pojechała z nim do Anglii... Nawet jeśli porucznik darzyć ją będzie przychylnością, i tak nie zdoła zapobiec tym upokarzającym szeptom i wyniosłym spojrzeniom na żonę o tak żalnym pochodzeniu.

A ona co najmniej już w połowie była w nim zakochana!

Kiedy Daniel wkroczył w jej życie, tak pełen jasnej urody i wdzięku, stał się dla niej księciem z bajki, czystym ideałem, niczym ów książę z opowieści piastunki. Trwało tak, póki nie poznała prawdziwego Daniela, bezdusznej kuk-

ły, nadętego arystokraty, który miał w sobie tyle człowieczeństwa, co postacie wymalowane na kartach do gry w wista.

Miles Hampden natomiast wydawał się kimś pozbawionym wszelkiej sztuczności czy pozy, kimś autentycznym i całkowitym, prawdziwym człowiekiem z krwi i kości, obdarzonym do tego mnóstwem zalet. Im dłużej go znała, tym bardziej go podziwiała, i za każdym razem, gdy wchodziła do lazaretu, jej serce biło szybciej.

Serce, które powinna chronić. Daniel go nie złamał. Kiedy w sposób bezwzględny i bolesny pokazał jej swoją prawdziwą naturę, natychmiast wyzwoliła się ze ślepej, szaleńczej miłości, dzięki czemu serce pozostało nienaruszone.

Teraz to serce, spragnione uczucia, wrywa się do porucznika Milesa Hampdena.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Edwina po krótkiej drzemce weszła do bawialni, zastała tam matkę, pochyloną nad robótką.

– Cieszę się, moje dziecko, że choć trochę odpoczęłaś. A jak się czuje twój mąż?

– Kiedy wychodziłam od niego, też miał zamiar się zdrzemnąć. Musi zbierać siły. Doktor MacAndrews powiedział, że Hampden za kilka dni może jechać do Lizbony.

– Wspaniale! Oczywiście będziesz mu towarzyszyć!

– Nie, mamó. Mówiłam ci już, że zamierzamy wystąpić o anulowanie małżeństwa. Wszystkie dokumenty podpiszę tu, w Torres Vegas, a porucznik zawiezie je do Lizbony. Ale ja z nim nigdzie nie pojedę. Lepiej, żeby nasze drogi rozeszły się jak najprędzej.

– Dlaczego macie się rozstawać?– spytała matka rozzalonym głosem. – Zastanów się, moja droga. Hampden jest przystojny, utytułowany i bardzo sympatyczny. Poza tym jest mniej więcej w twoim wieku. Nie sądzę, żebyś znalazła tu lepszego męża, i to z taką obiecującą przyszłością! Nie zapominaj też, że on poślubił cię z własnej nieprzymuszonej woli. Może warto zatrzymać go przy sobie?

– Mamó! Ja i Hampden pobraliśmy się w bardzo szczególnych okolicznościach, przede wszystkim po to, by chronić jego rodzinę. Jestem pewna, że gdybym teraz nalegała na utrzymanie tego związku, Hampden nie opierałby się, bo tak kazałoby mu postąpić poczucie honoru, ale w skrytości ducha do końca życia gardziłby mną za to, że w jakiś sposób go oszukałam. Poza tym taki człowiek jak on powinien mieć żonę ze swojej sfery.

– Och... – Pani Crofton znacząco uniosła brwi. – Tak tylko mówisz, moja droga, a ja sędzę, że i ty, i twój małżonek wykroczyliście już daleko poza ramy określone przez waszą umowę. Hampden, oczywiście, nie jest twoim ukochanym Danielem, ale nie wierzę, żebyś zgodziła się zostać jego żoną, nie czując do niego żadnej sympatii. Możesz nawet nie do końca zdawać sobie z tego sprawę, ale z pewnością nie jest ci całkiem obojętny... On zaś, kiedy z nim rozmawiałam, wyglądał na kogoś, kto bardzo chce wierzyć, że wasze małżeństwo się utrzyma.

– Rozmawiałaś z nim?! Och, mamó! Kiedy?

– Kiedy wypoczywałaś, odwiedziłam go kilkakrotnie. Chciałam poznać męża mojej córki. Chyba nie ma w tym nic dziwnego, prawda? Edwino, wiem, jak głębokim uczuciem obdarzyłaś Daniela, inni mężczyźni po prostu dla ciebie nie istnieli, ale mówiąc szczerze, lord Hampden zdaje mi się bardziej pociągający. Nie znaczy to, oczywiście, że Daniel nie był przystojny, do tego manieri miał jak najlepsze, ale twój porucznik Hampden jest bardziej przystępny, bardziej otwarty na ludzi i życzliwszy światu.

Edwina gorączkowo szukała w głowie jakichś mocnych argumentów na zabicie pochwał matki, niestety nic przekonującego nie przyszło jej na myśl, oprócz krótkiego stwierdzenia:

– On nie jest żadnym moim porucznikiem, mamó.

– A ja sędzę, że mógłby – oświadczyła stanowczym głosem pani Crofton.

– Gdybyś tylko zadbała o jego przychylność! Czy wiesz, z jakim podziwem twój mąż mówi o tobie? I wszystko chce o tobie wiedzieć, spragniony jest każdego szczegółu!

Ciemny rumieniec zabarwił policzki Edwiny. Ciekawe, jakie to szczegóły mama mu ujawniła...

– I... co mu opowiedziałaś?

– Tylko prawdę! Jakim byłaś kochanym dzieckiem i jakim dzielnym. Jak rozbiłaś kijem głowę jadowitemu wężowi, ratując w ten sposób życie *ayah*. Opowiedziałam też, że zawsze byłaś słodka i kochana dla swojej matki, która nawet w połowie nie jest tak mądra jak ty i która często wydaje ci się zapewne po prostu głupia. Jak bardzo kochałaś swego pierwszego męża, jak długo po nim rozpaczałaś. Powiedziałam też lordowi Hampdenowi, jak bardzo jestem mu wdzięczna za to, że znów obudził cię do życia. Bo bałam się bardzo, że nigdy już nie oderwiesz się od przeszłości. Córeczko, Hampden podoba ci się, prawda ?

Niestety, matka zawsze potrafiła bezbłędnie odgadnąć uczucia i myśli swej córki. Z tego zresztą powodu podczas nieudanego małżeństwa z Danielem Edwina starała się utrzymać wobec rodziców jak największy dystans. Teraz też nie mogła zwierzyć się matce. Wiedziała, że jeśli przyzna się do rodzącego się uczucia do Hampdena, usłyszy od niej nieuniknione pytanie: Jak to możliwe, że darząca swego pierwszego męża gorącą, wręcz szaleńczą miłością, Edwina w tak krótkim czasie przelała swe uczucie na innego mężczyznę ?

– Mam dla niego wiele sympatii – powiedziała oględnie. – Spodziewam się, że wkrótce uda nam się rozwikłać obecną sytuację w sposób satysfakcjonujący obie strony. Przepraszam, mamó, ale muszę już iść.

Ruszyła ku drzwiom, czując na sobie wzrok matki, co wprawilo ją w jeszcze większe zakłopotanie.

Kiedy weszła do namiotu, aż przystanąła ze zdumienia. Jej ciężko ranny małżonek, zamiast leżeć na pryczy, przechadzał się po namiocie.

– Czy wolno panu już wstawać, milordzie? – spytała. – Jest pan tego pewien?

W odpowiedzi najpierw posłał jej zniewalający uśmiech, na co serce Edwiny natychmiast przyśpieszyło i nie chciało się uspokoić, mimo że ganiła siebie w duchu za taką reakcję. Potem zaś rzekł:

– Miło słyszeć słowa szczerzej troski, lady Hampden! Zdecydowałem się na małą przechadzkę po namiocie, ponieważ przed wyjazdem do Lizbony powinienem odzyskać siły. Muszę przyznać, że w pozycji pionowej czuję się znakomicie. – Nadal uśmiechając się uroczo, podszedł do Edwiny i pocałował ją w rękę.

Zaskoczona tym pełnym kurtuazji gestem w ostatniej chwili powstrzymała odruch i nie cofnęła gwałtownie dłoni. Czowała, że oblewa się rumieńcem, a po plecach przebiega dreszcz, wcale jednak nie lodowaty, tylko odwrotnie, bardzo przyjemny. Taka miła scena... Jakby naprawdę była żoną wicehrabiego i widok jej osoby sprawiał mu niekłamaną przyjemność...

Rzadko kiedy mężczyźni górowali nad nią wzrostem. Hampden górował, była tym faktem nieco zakłopotana, a jednocześnie – co było absurdem – czuła się przy nim istotą kruchą i delikatną, pragnącą wesprzeć się na jego silnym ramieniu. Jak bezwolne, sentymentalne heroiny z powieści Minervy.

Tego rodzaju odczucia stanowczo były niewskazane, zwłaszcza teraz, kiedy we wszystkich kwestiach, które dotyczyły Hampdena, powinna wykazywać się nadzwyczajnym rozsądkiem i opanowaniem.

– Może pan usiądzie? – spytała, pragnąc choć zniwelować różnicę wzrostu. – Sądzę, że nie powinien pan się nadwierać, bo może to znacznie opóźnić okres rekonwalescencji. Bardzo proszę, niech pan usiądzie, a ja będę panu dalej opowiadać indyjską legendę, o ile pan sobie tego życzy.

– Naturalnie! – Natychmiast podszedł do swojej pryczy i usiadł. – Bardzo jestem ciekaw, co dalej wydarzyło się u dzielnego Ramy i pięknej Sity.

Chociaż, nie ukrywam, najbardziej interesują mnie dalsze losy nas dwojga, pani i moje...

– Mnie... mnie też – przytaknęła, starannie unikając jego wzroku. – Jestem gotowa podpisać każdy dokument, który jest potrzebny do anulowania małżeństwa.

– Tak, rozumiem panią, choć patrzę na to nieco inaczej. Naturalnie mogłaby pani napisać oświadczenie w obecności kapelana jako świadka. Zawiózłbym je do Lizbony, może się jednak zdarzyć, że przedstawiciel biskupa będzie chciał porozmawiać z panią osobiście. Dlatego, moim zdaniem, lepiej by było, gdyby pojechała pani ze mną. Mielibyśmy większą pewność, że wszystko uda się załatwić pomyślnie.

Czyli Hampden, choć sugerował trochę inne rozwiązanie, absolutnie był zgodny co do anulowania małżeństwa. Nadzwyczaj zgodny. Edwina powinna być z tego zadowolona. Dziwne, że tak nie było. W głębi duszy czuła bowiem coś na kształt rozczarowania, za co natychmiast udzieliła sobie reprimendy. Bo i co jej się raptem zamarzyło? Że porucznik, mając na względzie smakowitą potrawkę i biegłość Edwiny w szachach, nalegać będzie na kontynuowanie tak niedobranego małżeństwa? To po prostu śmieszne!

– Ma pan rację. – Starła się, żeby w jej głosie nie było śladu wzburzenia czy zawodu. – Tak będzie najrozsądniej.

– Świetnie. Czyli jedziemy razem do Lizbony. Za dwa dni, bo na taki termin zgodził się doktor MacAndrews. Czy pani matka zgodzi się nam towarzyszyć? Sądzę, że pani będzie czuć się wtedy zręczniejszą, a pani Crofton miałaby okazję odwiedzić lizbońskie sklepy. Święta przecież już za pasem.

Tylko nie to! Niczego mniej nie pragnęła, niż nadzwyczaj spostrzegawczej matki jako towarzyszkii podróży. Tym bardziej że będzie to podróż, która zapewne złamie jej serce.



– Mama bardzo niechętnie rozstaje się z papą. Sądzę, że jako przyzwoitka wystarczy pokojówka Juanita.

– Jak sobie pani życzy – odparł porucznik. – Cieszę się, że udało nam się wszystko uzgodnić. A teraz cały zamieniam się w słuch.

Zasiadając w krześle, pomyślała z żalem, że znów uległa silnej woli porucznika. Bez kwestii zgodziła się na wyjazd do Lizbony, chociaż rozsądek podpowiadał, że im prędzej się rozstaną, tym ból będzie mniejszy.

– Przepraszam... na czym skończyłam?

– Żona księcia, Sita, została uprowadzona przez demona, władcę sąsiedniego królestwa.

– Ach tak – mruknęła, zadowolona, że może wreszcie umknąć z kłopotliwej sytuacji życiowej w świat fantazji. – Ten demon urzeczony był urodą Sity. Namawiał ją prośbą i groźbą, żeby mu uległa, ale Sita miała dla niego tylko jedną odpowiedź: kocha Rame, nie potrafi sobie nawet wyobrazić, żeby w jej życiu był inny mężczyzna...

Miles, z uśmiechem błakającym się po twarzy, wpatrywał się w swoją małżonkę. Dziwne, że kiedy spotkał ją po raz pierwszy, dostrzegł tylko jej piękne oczy. Może dlatego, że była nieśmiała, mówiła cichym głosem i głowę miała zazwyczaj opuszczoną. Lecz teraz, kiedy oczy rozbłysły, kiedy z żywą gestykulacją snuła swoją opowieść, wydawała się mu równie zachwycająca jak hinduska księżniczka Sita.

Z każdym dniem spędzonym w jej towarzystwie coraz bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że kontynuowanie tego małżeństwa będzie najlepszym rozwiązaniem dla nich obojga. Znalezienie wśród londyńskiej socjety kobiety, która tak jak Edwina nadawałaby się na towarzyszkę jego życia, było raczej niemożliwe. A on mógł jej dać szacunek, przyjaźń, dobrobyt i ciekawe życie, polegające na doglądaniu licznych posiadłości i dzierżawców.

Wyczuwał w niej coraz większą przychylność do siebie, nie nalegał jednak na kontynuowanie małżeństwa. Na to było jeszcze stanowczo za wcześnie, na tym etapie z pewnością spotkałby się ze zdecydowanym sprzeciwem. Dlatego, żeby zyskać na czasie, namówił ją na wspólną podróż do Lizbony pod pretekstem szybszego załatwienia ich wspólnych spraw, a tak naprawdę żywił cichą nadzieję, że uda mu się skłonić Edwinę do wyrażenia zgody, by ich tymczasowe małżeństwo stało się związkiem stałym.

RS

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Trzy dni później Edwina siedziała w bawialni apartamentu, który jej mąż wynajął po przybyciu do Lizbony, i z wielką niecierpliwością czekała na jego powrót z konsulatu brytyjskiego.

Ku jej wielkiej uldze podróż do Lizbony nie odbiła się niekorzystnie na kondycji Hampdena. Co prawda po przybyciu na miejsce widziała, jak bardzo jest zmęczony, ale do hotelu wkroczył niczym wielki pan. Bogaty wicehrabia, wyniosły i wymagający, przed którym cały personel zgina się w ukłonach i biega w te pędy spełniać jego polecenia. Sądząc po przepychu pokoi, w których się zainstalowali, a także po obfitości wszelakiego jadła, sypnął porządnie groszem. Stąd smutna refleksja Edwiny, zerkającej nieustannie ku drzwiom. Ci służący, którzy czatowali za drzwiami, na pewno zachowywaliby się całkiem inaczej, gdyby wiedzieli, jak prędko lady Hampden znów stanie się zwyczajną panią Denby.

Życzyła sobie tego szczerze, bo coraz trudniej było zachować spokój i maskę obojętności na twarzy, kiedy tyle czasu przyszło jej spędzać w bardzo absorbującym towarzystwie Hampdena, a wszyscy dookoła traktowali ją jak jego szanowną małżonkę, bogatą i ustosunkowaną wicehrabinę. Dlatego też poprzedniego dnia, wieczorem, postanowiła położyć kres tej zachwycającej intymności, jaka wytwarzała się między nimi podczas opowiadania hinduskich legend. Hampden poprosił ją, by jeszcze raz opowiedziała mu legendę o Ramie, tym razem dłuższą i barwniejszą wersję, bo jego zdaniem to, co już usłyszał, było na pewno jedynie skrótem. Edwina nie zgodziła się i sama wystąpiła z prośbą. Ponieważ mówienie nie męczy już Hampdena, ma wielką prośbę, niech teraz sam coś opowie, na przykład o swoim domu w Anglii.

Spodziewała się, że na wstępie usłyszy obszerny wywód genealogiczny starożytnego rodu, a potem wykład o obowiązkach wobec nazwiska i arystokratycznej rodziny, czyli taką, samą opowieść, jaką zwykle serwował jej Daniel. Tym razem życzyłyby sobie tego z całego serca. Taka sztywna przemowa natychmiast wytworzyłaby między nimi dystans, a o to przecież jej chodziło. Niestety, Hampden jeszcze raz udowodnił, że jest przeciwieństwem jej poprzedniego małżonka. Potrafił wspaniale opowiadać, żywo i z humorem. Edwina zaśmiewała się do łez, kiedy mówił o zabawnych psikusach z dzieciństwa, a opis Hampden Glen i jego mieszkańców był tak barwny, że, zamiast podejść do tego z dystansem, zapragnęła poznać czułą, łagodną bratową Hampdena i małą bratanicę, którą wicehrabia uwielbiał. Chciałaby zobaczyć malownicze wzgórza i zielone gaje koło jego domu, poznać kraj tak inny niż Indie, w których wyrosła.

Szkoda, że tak się nie stanie... szkoda, że niedługo rozstaną się na zawsze... Chociaż... Może Hampden zgodzi się utrzymać znajomość, choćby ze względu na przyjaźń, która zawiązała się między nimi w ciągu tych kilku dni. Może mogłaby czasami napisać do niego list, zapytać, jak miewa się on i jego najbliżsi...

Och, nie, to są tylko mrzonki. Kiedy Hampden wróci do Anglii, jego pierwszym obowiązkiem będzie znalezienie odpowiedniej żony. Tak zapewne się stanie, Edwina bez trudu, choć z bólem serca, mogła wyobrazić sobie milorda z jakąś inną kobietą w ramionach. Ta kobieta z pewnością nie będzie tolerować korespondencji swego męża z poprzednią małżonką, nawet jeśli była nią tylko przez krótki czas, w istocie żoną nieprawdziwą...

Nie. Kiedy lord wróci do Hampden Glen, ona w żaden sposób nie będzie już uczestniczyć w jego życiu.

Jednak podczas wczorajszej kolacji pewnego tematu unikali jak ognia. Zachowywali się tak oboje. Tym tematem było rozwiązanie ich małżeństwa...

Tego ranka Hampden najpierw udał się na krótko do bankiera, potem wysłał Edwinę po sprawunki, a sam poszedł na umówione spotkanie do konsulatu. Teraz czekała na niego, płonąąc z ciekawości, czego dowiedział się na temat anulowania ich związku.

Chyba jeszcze nigdy nie pragnęła czegoś bardziej, niż rozstania z lordem, z każdym bowiem dniem, z każdą minutą jej sytuacja stawała się trudniejsza. Hampden, coraz zdrowszy i silniejszy, snuł wokół Edwiny czuły, opiekuńczy kokon, co było cudowne po lodowatym małżeństwie z Danielem, kiedy mogła polegać tylko na sobie. Teraz doświadczała luksusu posiadania koło siebie kogoś, kto ochoczo dzielił z nią codzienne życie. Wcale nie było to dla niego poświęceniem, przeciwnie, sprawiało mu największą przyjemność. Dawał jej to odczuć na każdym kroku, zachowując się wobec niej z największą galanterią. I zawsze, gdy dokądś wychodził lub powracał, całował ją w rękę. Muskał wargami jej palce, a ona za każdym razem pragnęła, by uczynił to jeszcze raz. Wczoraj wieczorem zaś, kiedy stali pod drzwiami jej sypialni, Hampden, życząc dobrej nocy, przyciągnął Edwinę do siebie i pocałował w czoło.

Ta niespodziewana bliskość podziałała na nią piorunująco. Nagle jakby cała stanęła w płomieniach, a głowa sama zaczęła się unosić, by podać Hampdenowi usta... Och! W ostatniej chwili zdołała się powstrzymać, i to tylko dzięki temu, że z całej siły zacisnęła dłonie w pięści, co miało otrzeźwiający na nią wpływ. Jednak przeżycie było tak silne, że dziś, na wspomnienie tamtej chwili, znów poczuła w ciele żar...

Usta Edwiny poruszyły się w cichej modlitwie:

– Panie Boże, spraw, żeby Hampden już dziś przyniósł dokumenty do podpisania. Dzięki temu jutro będę mogła ruszyć w smutną i samotną drogę do obozu regimentu ojca. Panie Boże, spraw, żebym nie poddała się pokusie, bo jeśli ja i Hampden jej ulegniemy, poczucie honoru każe mu trwać w tym związku. I oboje będziemy nieszczęśliwi.

Jej nerwy napięte były do granic możliwości. Kiedy usłyszała kroki za drzwiami, zerwała się z krzesła. Jej serce tłukło się w piersi jak oszalałe. Hampden wkroczył do bawialni i jak zwykle skłonił się małżonce szarmancko. Wziął ją za rękę, odwrócił dłoń i pocałował ciepłe wnętrze. A jej omal nie zakręciło się w głowie.

– Mam nadzieję, że spotkanie... przebiegło pomyślnie – wyjąkała pełna pogardy dla siebie, że tak otwarcie okazuje swoją słabość.

Lecz Hampden jakby tego nie zauważył.

– Kazałem Manuelowi przynieść kolację za pół godziny. Przedtem możemy wypić po lampce wina.

Lokaj pukał już do drzwi. Kilka minut, które zajęło napełnienie kieliszków, pozwoliło Edwinie nieco odzyskać panowanie nad sobą.

– Jak spędziła pani popołudnie? – spytał Hampden, kiedy zostali sami. – Czy sprawiła pani sobie nową suknię? Byłbym bardzo zadowolony, choć oczywiście w tej, którą pani ma na sobie, wygląda pani czarująco. Zadowolona pani ze sprawunków?

– Tak. Tu, w Lizbonie, można dostać najcieńsze płótno. Kupiłam kilka chustek do nosa dla ojca, koronki dla matki, a także zabawkę, o którą pan prosił. Podarek świąteczny dla pańskiej bratanicy. Mam nadzieję, że jej się spodoba.

– Na pewno Beth bardzo się ucieszy... ale proszę powiedzieć, co kupiła pani dla siebie?

– Dla mnie? Nic, przecież potrzeba mi tak niewiele.

– Dlaczegoż to? – Spojrzał na nią z wyrzutem. – Bardzo chciałem, żeby pani kupiła coś dla siebie, chociaż jakiś drobiazg, lecz nie kupiła pani niczego. Czy zdaje sobie pani sprawę, jakie mogą być tego konsekwencje? Cały hotel okrzyknie mnie największym skapiradłem, któremu żal pieniędzy na nową suknię dla żony.

Z uśmiechem wskazała na złoty brokat i mahoń, dominujące w pokoju.

– Taka opinia panu nie grozi! Na samo wynajęcie tego apartamentu musiał pan wydać krocie. – Nie wytrzymała. Musiała zadać to pytanie, choć głos wewnętrzny podpowiadał, że temat ten lepiej byłoby poruszyć później, po kolacji. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, czego się pan dowiedział?

Hampden wypił łyk wina, potem uśmiechnął się trochę krzywo.

– No cóż, pytać zawsze wolno... Zresztą wykazała się pani anielską cierpliwością, czekając z tym pytaniem do tej chwili. Chociaż nie ukrywam, że pani determinacja w kwestii pozbycia się mojej osoby nieco rani moją miłość własną.

– Ależ tu nie chodzi o żadne pozbywanie się... Dlaczego pan tak do tego podchodzi? – zaprotestowała, czując, że niepożądany rumieniec oblewa jej policzki. – Oboje przecież dobrze wiemy, że nasze małżeństwo jest niedobre. Zwykły rozsądek nakazuje je rozwiązać, zanim... – W tym momencie popełniła wielki błąd. Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. W oczy, które spoglądały na nią w ten szczególny sposób, który wyzwalał w niej wszystkie tęsknoty i pragnienia. – Zanim nie będziemy... coraz bardziej w to uwikłani... – dokończyła cichym głosem.

– W takim razie bardzo mi przykro, ale nie mam dobrych wieści. Nie uporamy się z tym tak szybko. Przedstawiciel biskupa po przeczytaniu wyjaśnienia, jakie przekazał kapelan Darrow, wyraził wielką dezaprobatę dla



pośpiechu, z jakim zawarto małżeństwo, po czym oświadczył, że on w tej sprawie nie może decydować. Trzeba zwrócić się z prośbą na piśmie do kurii arcybiskupa w Anglii... – Duża ciepła dłoń spoczęła na dłoni Edwiny. – Obawiam się, że jeszcze przez jakiś czas będę dla pani ciężarem.

Jego palce przesuwaly się leniwie po jej dłoni, rysowały na niej jakiś zawiły wzór. Edwinie prawie zabrakło tchu. Czula przyjemne mrowienie w całym ciele. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby zebrać się w sobie i podjąć konwersację.

– Niczego nie można zrobić tutaj, w Lizbonie? – Była świadoma, że w jej głosie słycać zarówno niezadowolenie, jak i, niestety, zadowolenie. Cieszyła się, że więzy łączące ją z Hampdenem nie zostaną jeszcze zerwane. Może to i lepiej, jeśli ostatecznie i na zawsze pożegnają się później, listownie, a nie już niebawem, w ciągu tych kilku rozdzierających serce chwil w porcie, kiedy to ona zostanie na brzegu, a jego okręt uniosą fale oceanu.

Dzięki Ci, Panie Boże, szepnęła w duchu, a za moment znów została pozbawiona zdolności myślenia, ponieważ Hampden podniósł jej rękę do ust i zaczął całować po kolei koniuszek każdego jej palca.

– Potrzeba wiele zachodu, żeby to wszystko rozplatać. Czy nie lepiej zostawić to tak jak jest? – Wsunął palec pod jej brodę i zmusił, żeby spojrzała mu prosto w oczy. – Może i pochlebiam sobie, ale wydaje mi się, że pani zaczyna mnie lubić.

– T... tak. Sądzę, że łączy nas przyjaźń...

– Też jestem o tym przekonany, a przyjaźń to naprawdę bardzo wiele. Może stanowić podwaliny ze wszech miar udanego małżeństwa. Wiem, że swego pierwszego męża darzyła pani wielką miłością. Przeżyła pani już utratę najdroższej osoby. Czy dla pani nie byłoby teraz... po prostu wygodniej być poślubioną... bardzo dobremu przyjacielowi?

Pierwszy mąż. Wystarczyło, żeby czar prysł. Natychmiast zeszywniała. Nie dość, że pochodzą z różnych sfer, to miałyby jeszcze żyć z kimś, kto darzy ją „wygodnym” przyjacielskim uczuciem? Nigdy!

Próbowała wysunąć palce z jego dłoni. Hampden nie puszczał, ale na jego twarzy pojawiła się konsternacja.

– Proszę wybaczyć – powiedział. – Wspominając o nim, wykazałem się gruboskórnością. Pani posmutniała, a ja miałem tylko nadzieję, że nasza przyjaźń pomoże pani przezwyciężyć ból. Ja, chociaż nie mogę ofiarować pani ani fascynujących opowieści, ani nietuzinkowego życia podczas wojennej kampanii czy w tak egzotycznym kraju jak Indie, mogę zaproponować pani przyszłość wypełnioną ważną i pożyteczną pracą. Dobra Hampdenów są rozległe, potrzebują oddanej i mądrej pani, która zadba o ich pomyślność. Pani twierdzi, że nie należy do świata, do którego zamierzam powrócić, lecz prawda jest taka, że wcale nie byłem chowany do roli, którą teraz będę musiał odegrać. Pani mogłaby mi pomóc w wyuczeniu się nowych obowiązków. Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Ależ ja nie urodziłam się w tym świecie, w którym urodził się pan! Nie nauczono mnie, jak sprostać jego wymaganiom. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby istniało coś, co mogłabym zmieścić z pańskiej ścieżki!

Odwzajemnił uśmiech.

– Może pani nauczyć moją kucharkę przyrządzać wspaniałą potrawkę!

Potrawka. Tylko do tego się nadaje. W jednej chwili ożyło wspomnienie tamtej strasznej chwili, gdy Daniel, dowiedziawszy się, że Edwina dostanie swój spadek dopiero za kilka lat, wykrzyczał jej prosto w twarz:

– A jaką korzyść oprócz majątku można mieć z takiej żony jak tyś Kucharzkę już mam, i zarządcę też, który dba o moje interesy!

Stara rana znów zaczęła jątrzyć. Niewiele myśląc, Edwina rzuciła ostrym głosem:

– Może mogłabym również pomagać zarządcy w uzyskaniu lepszej ceny za pszenicę? – Natychmiast przeklęła swój ostry język, widząc na twarzy Hampdena zakłopotanie.

– Przepraszam. Popełniłem wielki nietakt. Proszę mi jednak wierzyć, wcale nie chodziło o to, że chciałbym moją żonę zaprząć do pracy w kuchni...

– Ależ wcale tak tego nie odebrałam! – przerwała, szukając gorączkowo słów, które złagodziłyby ostrą wypowiedź. – Miałam na myśli całkiem coś innego. Nauczyłam się wiele podczas kampanii, a wcześniej w Indiach, ale w Anglii z tej mojej wiedzy niewiele by było pożytku. Poza tym słyszałam, że pańskie majątki prosperują znakomicie.

Na szczęście mars zniknął z czoła Hampdena. Uśmiechnął się.

– Owszem. Ta odrobina, którą dziś dałem żonie na sprawunki, nie uszczupliła mojego kapitału.

Odwzajemniła uśmiech, choć nie zdołała ukryć pewnej nerwowości.

– Miło mi to słyszeć. Ja również będę mogła pochwalić się kapitałem, co prawda dopiero gdy ukończę dwadzieścia pięć lat. Dostanę wtedy spadek po dziadku, dość pokaźną kwotę.

– Wcale nie snułem marzeń, by mieć u swego boku spadkobierczynię nababa, lecz damę, która stałaby się moją najdroższą przyjaciółką.

Tym słowom towarzyszyło spojrzenie bardzo wymowne, aż tak bardzo, że zagroziło Edwinie utratą rozsądku. Na szczęście do tego nie doszło, zapukano bowiem do drzwi i do bawialni wkroczyło co najmniej pół tuzina służących. Podczas wystawnego posiłku rozmowa przy stole oscylowała wokół aktualnej sytuacji politycznej w Anglii, Hampden przekazał również najświeższe pogłoski na temat ruchów wojsk, o czym usłyszał w konsulacie.

Kiedy służba wyszła i zostali sami nad swymi kieliszkami z portwajnem, Edwina westchnęła:

– Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni jadłam tak wystawnie. Chyba podczas wizyty u dziadka, przed wyjazdem z Indii. Dziadek żył jak prawdziwy radża.

– Sądzę, że oboje doceniamy zmianę po tych zajęciach i zdobywczych warzywach, jakimi raczyliśmy się dotąd. Może siądziemy na sofie? – zaproponował.

Edwina spojrzała na ów elegancki mebel sceptycznie. Ulokowanie się tuż obok Hampdena stanowczo nie było najlepszym pomysłem, ale ponieważ do głowy nie przychodziła jej żadna wymówka, uczyniła zadość jego prośbie. Ostrożnie przysiadła obok męża, nadzwyczaj silnie świadoma jego obecności, ciepła bijącego od jego ciała i zapachu portwajnu, wyczuwalnego w jego oddechu.

– Edwino, nie miałaby pani ochoty popłynąć ze mną do Anglii? Gdybym przywiózł do domu żonę, może wróciłaby radość w pogrążonej w żałobie rodzinie. A przecież święta zawsze powinny być radosne. Naturalnie, jeśli pani będzie dalej nalegać na anulowanie naszego związku, przysięgam, że uczynię wszystko, co w mojej mocy, by pani życzeniu stało się zadość, a pani obecność w kraju znacznie przyspieszy procedurę. Będzie pani mogła złożyć stosowne oświadczenie i podpisać dokumenty... – Odstawił swój portwajn, przysunął się bliżej do Edwiny. – Może byłoby i roztropnie, gdybyśmy spędzili z sobą jeszcze trochę czasu. Nasza przyjaźń się pogłębi, kto wie, może dojdziemy do porozumienia i zadecydujemy o wspólnej przyszłości... takiej na całe życie...

Powinna odsunąć się od niego, i to zdecydowanie, wręcz demonstracyjnie, ale nie była w stanie tego uczynić, tym bardziej że głos

wewnętrzny też temu się sprzeciwiał. Podpowiadał: Edwino, ciesz się tą chwilą. Przecież on jutro wyjeżdża.

– Wszak jesteśmy przyjaciółmi – mówił dalej Hampden, a ona starała się koncentrować nie na jego ustach, lecz na słowach. – Przyjemnie nam razem. Potrafimy śmiać się z tego samego. A to dobrze, prawda?

Zaczął pieścić jej dłoń od przegubu ku palcom. Edwina, tłumiąc w sobie westchnienie, zdolna była tylko wymamrotać:

– Tak...

Drugą ręką pogłaskał ją po policzku, potem przesunął palce w dół, po szyi i obojczykach. Dotknął wypukłości piersi.

– Możemy dzielić nie tylko przyjaźń...

– mruknął. – Pani znajduje mnie pociągającym, czy tak?

Nie czekając na odpowiedź – co było zbawieniem, przecież i tak nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa – pochylił głowę i pocałował ją w szyję. Edwina cicho coś krzyknęła, zamknęła oczy i skupiła się na doznaniach. Teraz usta Hampdena powoli przesuwają się ścieżką wyznaczoną przez palce, od szyi, po dekolcie, do wycięcia sukni. Poczują ciepło jego oddechu na swoich piersiach. Potem gorące wargi...

– Mogę dać ci rozkosz, Edwino – szepnął. – Pozwól mi udowodnić, że pasujemy do siebie. Jeśli nie uda mi się ciebie zadowolić, pozwolę ci odejść i nie będę już o nic prosił.

On chciał ją posiąść.

Czując, że cała dygocze ze zdenerwowania, walczyła z sobą, starając się nie lekceważyć tego, co podpowiadał jej wewnętrzny głos. On zaś ostrzegał: Jeśli ulegniesz, Edwino, może skończyć się to katastrofą. Hampden bez wątpienia zadowoli cię, a wtedy będziesz zgubiona.

– Ja... ja nie mogę.

– Dlaczego? Pani sama przyznała, że oboje czujemy do siebie sympatię. Dlaczego jej nie pogłębić?

Próba przekonania go, że wcale nie znajduje go pociągającym, byłaby teraz zwykłą niedorzecznością, ale nie mogła przecież mu wyznać, że wcale nie chodzi o podobanie się czy sympatię. Ona zakochała się w nim, zakochała bez pamięci.

Dlatego, by ratować siebie, natychmiast powinna się wycofać, póki nie odda się całkowicie w niewolę zmysłów.

Udało się. Wstała z sofy i chwiejnym krokiem podeszła do kominka.

Hampden, oddychając ciężko, wparł się plecami w sofę.

– I znów muszę prosić panią o wybaczenie – odezwał się po chwili milczenia. – Zraziłem panią do siebie swoją śmiałością.

– Ależ skąd! – Odwróciła się ku niemu.

– Wcale nie zaprzeczam, że znajduję pana nadzwyczaj pociągającym, ale rzecz w tym, że jeśli się temu poddam, będzie to... – Zgubne. Nieodwracalne. Nie, to jeszcze nie jest odpowiednie słowo. Znalazła. – Niewłaściwe.

– Niewłaściwe... – Hampden zasepił się. – Jak mam to rozumieć?

– Niewłaściwe, ponieważ mówimy o przyjaźni, a ja... ja oddałam już komuś swoje serce.

Drgnął, usiadł prosto.

– Chodzi o innego mężczyznę? Ale chyba nie o pani zmarłego męża?

– Nie. W moim życiu pojawił się ktoś inny – powiedziała, czując ulgę, że zrozumiał to w taki właśnie sposób, i natychmiast zaczęła układać w duchu wyimaginowaną historię miłosną.

Hampden zasepił się jeszcze bardziej.

– Naprawdę? Czy ten ktoś pojawił się niedawno? Pani matka nic mi o nim nie wspomniała.

– Ona o niczym nie wie. Dżentelmen, o którym mówimy, jeszcze mi się nie oświadczył. Mam... miałam nadzieję, że uczyni to niebawem, a matce zamierzałam powiedzieć o nim, kiedy będę pewna, że on odwzajemnia moje uczucie.

– Pojmuję... A kimże jest ów szczęśliwy dżentelmen, jeśli wolno zapytać?

Odetchnęła głęboko. Miała nadzieję, że nie będzie musiała wymieniać żadnego nazwiska. Niestety Hampden, który zdawał się już ochłonąć po nieudanej próbie uwiedzenia jej, domagał się szczegółowych wyjaśnień.

Będzie musiała wyjawić to nazwisko. Najpierw jednak zmówiła szybko w duchu krótką modlitwę, błagalną prośbę, by wybaczyli jej to kłamstwo. Obaj, Pan Bóg i doktor.

– Doktor MacAndrews. Asystuję mu od ponad roku. Łączyła nas nie tylko praca, lecz także wzajemny szacunek i coraz większe przywiązanie, na którym to gruncie... Niestety, przerwał to ten pana niefortunny wypadek i pośpieszne małżeństwo.

– Pani jest w nim zakochana?

– Tak, milordzie. Kocham go i pragnę zostać jego żoną.

– A czy doktor MacAndrews na pewno odwzajemnia pani uczucia?

– Tego nie wiem, ale mam nadzieję, że tak.

– Czyli, jak rozumiem, pani karmi się nadzieją, że on z czasem w większym stopniu podzieli pani sentymenty?

– Można i tak to ująć.

Poderwał się z sofy, napełnił kieliszek portwajnem.

– Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym wcześniej?

– Ja... nie sądziłam, że będzie to potrzebne. Nikt się nie spodziewał, że pan przeżyje tamtą noc. Zgodziłam się na to małżeństwo pod naciskiem



pańskiego przyjaciela, pewna, że nie wynikną z tego żadne komplikacje i nie będę musiała z czegokolwiek się tłumaczyć doktorowi.

– Lecz nie umarłem, prawda? Czy potem rozmawiała pani z doktorem?

– Nie. Naturalnie, że nie. Zamierzałam porozmawiać z nim dopiero wtedy, gdy nasze małżeństwo zostanie anulowane. Kiedy stan pana się poprawił, byłam pewna, że pan, tak samo jak ja, świadom niestosowności naszego związku, będzie dążył do tego, by jak najszybciej uległ unieważnieniu. A o doktorze nie wspomniałam, gdyż sprawa jest delikatnej natury. Teraz powiedziałam panu o nim tylko dlatego, że pan... pan zmusił mnie do tego.

Wypił następny łyk.

– Tak. Zmusiłem panią do tego swoim grubiańskim zachowaniem, za które jeszcze raz proszę o wybaczenie.

Prosił o wybaczenie, czuła jednak, że jest zły. Co się dziwić, przed chwilą rozpalony był namiętnością, którą musiał w sobie stłumić. Dowiedział się też, że ona oddała serce innemu, a on przecież pragnie kontynuować ich małżeństwo. Teraz jednak, w tej nowej sytuacji, poczucie honoru nakaże mu dołożyć wszelkich starań, aby zwrócić Edwinie wolność.

Dobrze, że tak się stało. Dlaczego więc ona jest tak niebezpiecznie bliska łez? Dlaczego jej serce jest tak nieszczęśliwe, obite jak lotka do gry w wolanta?

– Nie czuję do pana urazy – powiedziała z największą staropanieńską układnością, na jaką było ją stać. – A teraz proszę wybaczyć, lepiej będzie, jeśli się oddalę do mojej sypialni. Pan odpływa jutro z samego rana? W takim razie powinien pan wypocząć przed podróżą. Jeszcze raz dziękuję za wspaniałą kolację.

– Dziękuję. Mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze jutro. A może w nocy będzie pani próbowała stąd umknąć?

– Nie, milordzie. Nigdzie nie umknę – Zaczęła szybko iść ku drzwiom, jak najszybciej, żeby Hampden nie dostrzegł kropli łez na jej rzesach. – Zobaczymy się rano. Życzę dobrej nocy, milordzie.

RS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Dobrej nocy... Wcale nie będzie dobra, myślał smętnie Miles, odprowadzając wzrokiem Edwinę, która ze zwykłym sobie spokojem kroczyła do drzwi sypialni. Do drzwi, przed którymi Miles poprzedniego wieczoru przytulił ją i pocałował w czoło, z nadzieją, że zostanie zaproszony do środka.

Dziś wieczorem drżała w jego ramionach, prawie gotowa ulec. Wyczuwał, że ogarnęła ją namiętność równa jego namiętności. Niestety on, niby taki bystry, wspomniawszy o jej świętej pamięci małżonku i wszystko zepsuł.

Nie był to jednak jego największy błąd, ani też największa niespodzianka. Miał nadzieję przekonać Edwinę, twierdząc, że przyjaźń jest dostatecznie mocną podwaliną dla małżeństwa. Okazał się zarozumiałym głupcem. Tej kobiecie prawił o przyjaźni, a ona, choć kochała niby tego swojego Daniela ponad życie, zdążyła już obdarzyć uczuciem kolejnego mężczyznę. Był nim doktor MacAndrews, który nawet jej się jeszcze nie oświadczył.

Znów upił łyk portwajnu. Hm... Może niesłusznie złości się i ulega wstydowni, może wcale nie zrobił z siebie osła. Przecież Edwina bez protestu poddała się jego pieszczotom – do pewnego momentu, oczywiście... Ale z drugiej strony do niczego go nie zachęcała... A potem powiedziała mu o tym doktorku. Zaiste, prawdziwy grom z jasnego nieba! Miles przecież był święcie przekonany, że jej podstawowym argumentem przeciwko ich małżeństwu są te dyrdymały o nierównym pochodzeniu, tak bardzo również istotne dla Sanbrooka. Myśl o tym, że może istnieć jakiś inny mężczyzna, w ogóle nie przyszła mu do głowy. Czyli jednak jest osłem.

Pani Crofton też nie miała pojęcia o doktorze, ale nie było w tym nic pocieszającego. Edwina postępowała rozsądnie, odkładając rozmowę z matką

na później, póki MacAndrews się nie oświadczy. Nie chciała w niej rozbudzać niepotrzebnych nadziei.

A doktorowi Edwina chyba nie jest obojętna... Wystarczy wspomnieć, jak spojrział na Milesa, kiedy dowiedział się o potajemnym ślubie.

Głębokie rozczarowanie i zazdrość, te dwa uczucia wstrząsnęły Milesem, gdy poznał prawdę. Nie mogło być inaczej, przecież przez ostatnich kilka dni traktował Edwinę jako swoją Edwinę. Kiedy dowiedział się, że jego plany nigdy nie zostaną zrealizowane, odczuł to jako bolesny cios.

Ale przynajmniej rozumu starcza mu na tyle, by pozostać dżentelmenem. Skoro serce Edwiny jest zajęte, poczucie honoru nakazuje nie stawać jej na drodze. Zwłaszcza jej, Edwinie, która tyle dla niego uczyniła.

Po raz kolejny napełnił portwajnem kieliszek, rozparł się wygodnie na sofie i spojrział na migoczące w kominku płomienie. Nie, nie ma zbyt wielkich powodów do radości. Co z tego, że przeżył i wraca do domu jako bogaty wicehrabia, właściciel rozległych rodowych włości, skoro w walce o uczucie Edwiny przegrywa z nieutytułowanym łapiduchem, który swojej żonie może zapewnić tylko życie pod namiotem?

Sanbrook i reszta przyjaciół powiedzieliby pewnie, że Miles ma wielkie szczęście, skoro może bez trudu wyplątać się z tego związku. No cóż... rzeczywiście nie pozostaje mu nic innego, jak jechać do Londynu i zabiegać o anulowanie małżeństwa, a jednocześnie wystawić się na pastwę natrętnych matek, które zaczną paradować przed nim ze swymi wyperfumowanymi córeczkami o nieskazitelnych drzewach genealogicznych. Tymi dziewczycami o niby-melodyjnych, a naprawdę piskliwych głosach, brzdąkającymi na harfach i nadzwyczaj chętnymi do skorzystania z nazwiska Milesa i jego tytułu, o majątku już nie wspominając.

W przeciwieństwie do Edwiny, kobiety dumnej i oszczędnej, która odmówiła sobie przecież sprawienia nowej sukni. Zamiast tego kupiła chustki dla ojca, koronki dla matki i podarek dla bratanicy Milesa, o co ją prosił.

Niestety, Edwina woli wracać do obozu, żeby dalej wabić tego swojego łapiducha, on natomiast musi jechać do Londynu, anulować małżeństwo i spróbować zwabić nową żonę.

Nową żonę... Nie, nigdy nie znajdzie drugiej kobiety o tak ogromnych, przepięknych oczach, nigdy nie znajdzie kobiety tak dzielnej, która nie wzdragała się przed bólem i okropnościami lazaretu. Takiej jak Edwina, której delikatne ręce dawały ukojenie rannym żołnierzom, której ciepły, aksamitny głos kazał konającemu trzymać się życia.

Westchnął, ręka znów wyciągnęła się po karafkę. Trzeba łyknąć sobie jeszcze portwajnu, to pomoże na ten piekący ból. Nie, nie pod łopatką, nie tam, gdzie został ranny. Niżej, z lewej strony. Tam, gdzie bije serce.

Edwina zamknęła drzwi do sypialni i oparła się o nie całym swoim rozdygotanym ciałem. Nie miała żadnych wątpliwości. Hampden pożądał jej.

A ona mu nie uległa. Dlatego wewnętrzny głos zadreślał ją teraz swym pytaniem. Dlaczego pożądanie i wzajemna sympatia to za mało? Dlaczego tak bardzo jej zależy, by zawładnąć także sercem? Nie wystarczy jej szacunek ze strony człowieka, który da jej nazwisko i któremu urodzi dzieci?

Nie, nie wystarczy. Jeśli Hampden nie odda jej swego serca, to po powrocie do Anglii, do tego świata, który zapewne nie zaaprobuje ich małżeństwa, wkrótce przestanie darzyć ją nawet sympatią. Wszyscy przecież będą przeciwko niej, czego zresztą miała już sposobność doświadczyć. Przecież nawet lord Sanbrook, który niewątpliwie ją szanował i był do niej nastawiony przychylnie, wcale nie krył się ze swoją opinią, że to małżeństwo, faktycznie będące mezaliansem, powinno zostać rozwiązane. Hampden, nie

kochając Edwiny, po powrocie do Anglii z czasem zaczęłyby nią pogardzać. Jak kiedyś Daniel.

Jej duma i jej serce nie zniosłyby tego, dlatego zmusiła się do pokonania pokusy, by znów otworzyć te drzwi i wrócić do Hampdena. Och nie! Tego stanowczo nie powinna robić.

Wolnym krokiem podeszła do okna i spojrzała w górę. Czarna kopuła usiana było gwiazdami, a to zwiastowało czyste niebo i dobry wiatr dla statku, który następnego dnia uwięzie stąd Hampdena. Na zawsze.

Położyła dłoń na piersi, w miejscu, gdzie jeszcze palił ślad po pocałunku. Och, jak serce bolało. Jak nigdy jeszcze, nawet wtedy, gdy Daniel był nadzwyczaj okrutny...

Dlaczego nie może przyjąć tego daru od losu? Tej jednej nocy w ramionach Milesa Hampdena, człowieka, którego kochała. Na pewno byłoby zupełnie inaczej, niż pełne chłodu zespolenie niekochających się małżonków, jakiego zaznawała z Danielem. Nigdy jeszcze nie otrzymała prawdziwej czułości od mężczyzny, poznała tylko leniwą, egoistyczną żądzę. A Edwina dałaby mu wszystko...

Nigdy tak się nie stanie.

Łza spłynęła po policzku. Jakież to niesprawiedliwe, jak bardzo niesprawiedliwe, że nie będzie jej dane doświadczyć tej radości! Chociaż raz... Jeden jedyny, zanim rozstanie się z Hampdenem na zawsze.

Może... przełamać się? Pójść za głosem serca, nie dbając o rozsądek?

Ta myśl, tak lekkomyślna i niebezpieczna, wzbudziła w niej strach. Zacisnęła kurczowo palce na brokatowej storze, zacisnęła mocno powieki, starając się ze wszystkich sił wypędzić tę niedorzeczność z głowy. Na próżno. Wracała uparcie, przepływając przez jej głowę z coraz większą prędkością, z coraz większą mocą, jak poranny przyływ.

Gdyby zdobyła się na taką śmiałość... Hampden może ją odtrącić, tak jak uczyniła to ona. Ale jeśli nieś Jeśli tylko na to czeka... Mogliby ukraść dla siebie jedną wspólną noc, noc rozkoszy, bez żadnych konsekwencji i żalu.

Jakież bowiem znaczenie ma odrobina poniżenia w porównaniu z tym, co można przez to osiągnąć?

Pobiegła do garderoby. Księżyc był już wysoko na niebie. Jeśli ta jedna noc ma być wszystkim, co mogą mieć, nie wolno tracić jej ani sekundy...

Miles siedział na łóżku, szykując się do snu. Wyciągnął koszulę ze spodni i zaczął rozpinąć guziki, gdy nagle usłyszał ciche pukanie do drzwi.

W pierwszej chwili poczuł dreszcz podniecenia, natychmiast jednak przemówił sobie do rozumu. Nie, to nie może być Edwina... na pewno nie. A jeśli ona, to zapewne przyszła omówić z nim jakieś szczegóły związane z jutrzejszym odjazdem. Tylko po to, przecież Edwina go nie chce. Ani jako męża, ani jako kochanka.

Poirytowany tą myślą, zawołał w stronę drzwi:

– Niech pani wraca do łóżka! Jutro rano uzgodnimy wszystko, co trzeba.

Jego irytacja była tym większa, ponieważ doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli Edwina pojawi się w tym pokoju, to już jej stąd nie wypuści. Nie zdoła się pohamować i po raz drugi będzie próbował ją uwieść.

– *Señor*, proszę, to ja. Powiedziała mi pani, że tu mam wejść, do pana.

Juanita, pokojówka pani Crofton, o czym świadczy nieporadna angielszczyzna. Natychmiast zapomniał o irytacji. Teraz czuł tylko niepokój. Czyżby coś złego stało się Edwinie?

Błyskawicznie doprowadził ubranie do porządku i otworzył drzwi. Tak jak podejrzewał, za progiem stała portugalska pokojówka, Juanita, spowita w welon, jaki nosiły miejscowe kobiety.

– Co się stało? – spytał zaniepokojonym głosem.



Dziewczyna dygnęła.

– Moja pani kazała, przyszedłam do pana – dobiegł zza welonu przytłumiony głos. – Powiedziała, że milord chory, bolą plecy. Pani dała maść, ta maść tak robi, że pan zaśnie.

Maść! Pomoże mu zasnąć! Niestety, pomoc tu może coś innego, a nie jakaś głupia maść! Znow poczuł irytację.

– Powiedz swojej pani, że bardzo wdzięczny jestem za jej troskę – rzucił opryskliwym tonem. – Niestety to nie ból w plecach nie daje mi spać!

Chciał zamknąć drzwi, ale dziewczyna zaprotestowała.

– Proszę, *señor*, nie! – odezwała się błagalnym tonem. – Pani zła, pani krzyczeć, Juanita musi zrobić, co pani każe.

Biedna dziewczyna aż drżała ze strachu. Zrobiło mu się jej żal.

– Obiecuję, dziecko, że twoja pani cię nie zbije. Wracaj do łóżka.

Ona jednak, zamiast odejść, podeszła do niego bliżej.

– Proszę, *señor*. Juanita robi ci... przyjemność.

Jego zmysły były trochę oziębiałe od wina, jednak smukła postać spowita w welon nagle wydała mu się dziwnie znajoma. Nachylił się i poczuł delikatny zapach jaśminu. Ten zapach towarzyszył mu tamtej nocy, silniejszy był niż zapach krwi i strachu.

Edwina! Był pewien, że to ona, jego tymczasowa żona. Sama przysłała do jego sypialni. Musiała zmienić zdanie, ale po co to przebranie? Och, nieważne...

– Proszę, *señor*, Juanita może wejść? Mało czasu, trochę tu będę, przyjemność duża, ból zniknąć. *Señor* potem zaśnie, obiecuję. Długi, dobry, mocny sen.

Na twarzy Hampdena powoli pojawiał się uśmiech. Bo nieistotne, jaka jest przyczyna tej maskarady. Po prostu był bardziej niż szczęśliwy, że może

wziąć w niej udział. Tylko skończony głupiec nie pozwoliłby w takich okolicznościach uśmierzać bólu w swoich plecach. A Hampden nie zamierzał po raz drugi tego wieczoru być skończonym głupcem.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Dobrze. Skoro twoja pani tak ci kazała... – Miles, nie przestając się uśmiechać, odsunął się na bok, żeby wpuścić do pokoju zawołowaną postać. – Co masz ze mną zrobić, Juanito?

– Wszystko, milordzie. Proszę, teraz pan siedzi na łóżku. No, dlaczego pan nie siedzi – No, siedzi *señor*, dziękuję.

Naturalnie, że się nie opierał. Zabrzmiało to przecież bardzo obiecująco. Posłusznie przysiadł na brzegu łóżka. Zawołowana kobieta podeszła do niego, rozpięła koszulę i ostrożnie zsunęła ją z poranionych pleców. Cały czas roztaczała wokół siebie woń jaśminu. Miles już był całkiem pewien, że tajemniczy gość, który nieoczekiwanie zjawił się w jego sypialni o północy i niemiłosiernie kaleczył język, to Edwina.

Najpierw starannie złożyła koszulę – och, ta schludna, porządna Edwina! – i odłożyła ją na bok. Potem z kieszeni fartucha wyjęła buteleczkę, nalała na dłoń niewielką ilość gęstego, wonnego płynu i ostrożnie rozprowadziła go po jego ramionach. A potem jej ciepłe palce zaczęły masować ramiona Hampdena, kark, plecy. Przymknął oczy i wytrzymał w milczeniu kilka chwil. Potem jednak musiał sobie westchnąć, tak mu było przyjemnie.

– Juanito... czy mogłabyś pomasować mnie nieco... niżej?

Posłuszne ręce natychmiast przesunęły się we wskazanym kierunku. Masowała okolice krzyża i boki, czyli miejsca całkiem niewinne, i Miles zaczynał już się w duchu zastanawiać, czy misja zawołowanej kobiety nie ma na celu rzeczywiście tylko spraw medycznych.

Po chwili Edwina zrobiła krótką przerwę. Ponownie nalała na dłonie olejek, ponownie rozsmarowała go na jego ramionach. Tym razem jednak, zamiast masować plecy, zajęła się szeroką piersią. Masowała ją, zataczając

kregi wokół sutek, zbliżając się do nich, ale ich nie dotykając. Robiła tak wielokrotnie, a potem nagle palce śliskie od olejku zaczęły masować jego sutki.

Ciało Hampdena, i tak już podniecone, teraz stanęło w płomieniach. Gotów był pchnąć Edwinę na łóżko, zadrzeć jej spódnicę i wziąć ją natychmiast. Krew gotowała się w nim, całe ciało pulsowało.

Ale powstrzymał się. Wrył się paznokciami w prześcieradło i udało mu się trwać nadal nieruchomo, choć sytuacja stawała się coraz trudniejsza, palce Edwiny bowiem ponownie zaczęły przesuwac się w dół, po żebrach. Kiedy masowała brzuch, zdawało mu się, że jej oddech staje się coraz szybszy i nierówny. Ale może to tylko było złudzenie, przecież słyszał przede wszystkim bicie swego serca. Waliło jak młot.

Palce dotarły do paska spodni, zatrzymały się na ułamek sekundy, po czym wślizgnęły się pod ów pasek. Były już tak blisko... och, jakże blisko tej właśnie części ciała, którą Edwina przede wszystkim powinna pomasować!

Ona zaś wysunęła palce i pociągnęła za pasek.

– Proszę go rozpiąć, *senor*. – jej głos był cichutki, angielszczyzna idealna. – Wtedy będę mogła skończyć.

Zanim zdążyła odsunąć się od niego, już rozpiął wszystkie guziki, ściągnął spodnie wraz z bielizną i cisnął na podłogę. Po czym znów przysiadł na brzegu łóżka.

Tym razem nie miał wątpliwości, że słyszy jej oddech. Głęboki, powolny wdech, po którym nastąpiła cisza. Czyli Edwina wpatrywała się teraz przez ten cienki welon w jego nagie, podniecone ciało. Podekscytowany tą myślą, odchylił się nieco w tył, żeby miała widok jeszcze pełniejszy.

– A teraz co chcesz, żebym zrobiła – spytał.

Obróciła się na pięcie i podeszła do stolika przy łóżku.

– Pokojówka nie powinna oglądać pana w takim stanie. To nie wypada –  
Zgasiła jedyną świecę.

Miles zaśmiał się cicho. Wypada czy nie, zanim przypomniła sobie o roli służącej, miała czas napatrzeć się do syta.

– Proszę położyć się na brzuchu, milordzie, będę dalej masować plecy. To przyniesie panu ulgę.

Pał sześć plecy! On pragnął przede wszystkim, żeby ktoś rozładował napięcie w intymnych częściach jego ciała, ale położył się, oczywiście, tak jak kazała na brzuchu, i rzucił przez ramię.

– Teraz, kiedy ciemność chroni twoją skromność, może zdejmiesz welon? Nie poplamisz go olejkiem.

Ku swemu zadowoleniu usłyszał cichy szelest, świadczący, że rzekoma pokojówka postąpiła zgodnie z jego sugestią. Niestety, choć dalej pilnie zerkał przez ramię, w ciemnościach nie mógł dojrzeć jej twarzy.

Znów zaczęła go masować, a on znów poddał się tej przyjemności, usuwając ze swej głowy wszystkie myśli, tym bardziej że ruchy ręki Edwiny były teraz zdecydowanie zmysłowe. Jej palce przesunęły się po żebrach, dotarły do pośladków. Przez chwilę głaskały je i ugniatały, po czym, po nakreśleniu kilku kółek na biodrach, przesunęły się dalej w dół i spoczęły po wewnętrznej stronie ud. Miles bezwiednie rozsunął nogi, rozpaczliwie zapraszając te palce, żeby przesunęły się wyżej i zajęły się wreszcie tą częścią ciała, która potrzebuje tego najbardziej.

Jej palce dotarły do rozwidlenia jego nóg. Pieściły przez moment i znieruchomiały. Wtedy nie wytrzymał. Przewrócił się na plecy i złapał ją za przeguby rąk.

– Proszę... daj mi ulgę... tutaj... – wydyszał.

Przez chwilę bał się, że ją przestraszył, bo kiedy puścił jej rękę, cofnęła je, ale kiedy gorączkowo szukał w głowie jakichś słów protestu czy też przeprosin, usłyszał znów cichy odgłos przelewanego płynu. Czekał, wstrzymując oddech. Edwina naląła na dłonie nową porcję olejku i znów zaczęła go masować. Właśnie tę część ciała, która potrzebowała tego najbardziej.

Pierś i czoło Milesa pokryły kropelki potu. Palce wczepiły się w prześcieradło, nogi zwierzały się i rozsuwały, tors wyginał się. Palce Edwiny i jego ciało poruszały się zgodnym rytmem jak w zmysłowym transie.

Wiedział, że długo to nie potrwa. Jakie by nie były przyjemne zabiegi Edwiny, on i tak pragnął o wiele więcej. Pragnął, aby jego pokryte potem i wonnym olejkiem ciało przylgnęło do jej ciała, pragnął wślizgnąć się do ciepłego wnętrza Edwiny, pieścić wargami i językiem jej nagie piersi. Chciał poczuć ten spazm, spazm największej rozkoszy...

Nagle to wszystko się stało. Usłyszał szelest spódnicy, Edwina wstąpiła na łóżko. Usiadła na nim. Jeden ruch jej bioder i wsunął się w to ciepłe wnętrze. Na ustach czuł gorące wargi Edwiny, jej palce, śliskie od olejku, wczepiły się w jego ramiona. Wyginała się nad nim i odsuwała, wyginała i odsuwała...

Dyszała, aż jej oddech przeszedł w urywany szloch, potem w ostry krzyk, a ich ciała zaczęły drżeć w spazmie największej rozkoszy.

Kiedy po chwili powrócił do rzeczywistości, pozbawiona sił Edwina leżała na nim. Objął ją mocno i przez kilka chwil leżeli tak nieruchomo, nadal zespoleni z sobą. Było w tym coś nadzwyczaj zmysłowego. On i ta układna, skromna dama, która pielęgnowała go z takim oddaniem, teraz leżała na jego ciele. Nagim, a ona była prawie całkowicie ubrana. Skromna suknia pokojówki zapięta była pod samą szyję.

Odgarnął jej włosy z twarzy i wyszeptał.

– Dziękuję za to, że dałaś mi ulgę. Ale... ale potrzebuję jeszcze więcej.

Poruszyła się, poczuł na brodzie delikatne muśnięcie jej rzęs.

– Więcej?

Roześmiał się, słysząc w jej głosie zdumienie.

– Tak, więcej. I to zaraz. Ale twoja suknia drapie mnie. Musisz ją zdjąć.

Jej twarz pod opuszkami jego palców drgnęła. Wiedział, że się uśmiechnęła.

– Pani każe, Juanita ma zrobić wszystko, co *señor* każe. – Jak widać, Edwina znów przypomniała sobie o dziwnej angielszczyźnie.

Wyprostowała się niespiesznie i leniwie jak kotka. Powoli zaczęła rozpinać haftki przy gorseciku. Z każdym jej ruchem ciało Milesa ożywało coraz bardziej. W końcu rozpięła ostatnią haftkę, odrzuciła gorsecik na bok i pochyliła się. Obnażone piersi trafiły wprost do jego niecierpliwych dłoni i ust.

Spódnica została, nie było już czasu, żeby ją zdjąć. Miles jeszcze tylko pożałował, że zaciągnął story w oknie. Gdyby tego nie zrobił, teraz, w świetle księżycy, widziałby nagą Edwinę, nagą przynajmniej do połowy.

Tak zrobi następnym razem. Obiecał to sobie w duchu, wsunął ręce pod spódnicę i objął mocno krągłe pośladki.

– Teraz, kochanie, oboje nawzajem przyniesiemy sobie ulgę.

Miles obudził się po kilku godzinach, kiedy na zasuniętych storach widać już było złocistą aureolę słońca. Ziewnął, przeciągnął się i spojrzał na zmięte prześcieradła. W głowie natychmiast odżyły wspomnienia upojnej nocy. Edwina...

Rozejrzał się po pokoju. Edwina, schludna jak zawsze, nie pozostawiła po sobie żadnych śladów. Miles uśmiechnął się. Suknia pokojówki zapewne nadaje się już tylko do wrzucenia w ogień. Nie szkodzi, gotów jest kupić



Juanicie tuzin nowych sukien z wdzięczności, że ta jedna ośmieliła jego żonę, dzięki czemu zażył największych rozkoszy.

Taka noc... teraz, naturalnie, nie będzie już żadnego gadania o anulowaniu małżeństwa z powodu bzdurnych różnic społecznych czy z przyczyny jakiegoś dwulicowego doktorka, co to nie jest wart choćby funta kłaków. Edwina, zjawiając się tu w przebraniu, związała się z Milesem na zawsze, i to w sposób, który przeszedł jego najśmielsze wyobrażenia.

Zapragnął ją ujrzeć, i to natychmiast. Był spragniony jej widoku, a także ciekaw, czy zarumieni się na wspomnienie swych śmiałych pieszczot, których nie skąpiła mu w ciemnościach.

Narzucił szlafrok i wszedł od bawialni. Edwina siedziała na sofie. Podszedł do niej i pocałował ją w policzek, sam zaskoczony, że rozpiera go tak wielka radość.

– Dzień dobry, droga żono!

Nie podniosła głowy, tylko spojrzała gdzieś w bok, ale policzki – o, tak! – zabarwił ciemny rumieniec.

– Dzień dobry, milordzie. Spał pan głębokim snem, dlatego poleciłam Manuelowi zaczekać ze śniadaniem. Czy zadzwonić już na niego?

Pan? Milordzie? Po takiej nocy?!

– Bardzo proszę. Jestem głodny jak wilk. – Usiadł obok niej na sofie. – Ta noc, trzeba przyznać, była nieco męcząca, męcząca w rozkoszny sposób. Zdziwiony jestem, że pani wstała tak wcześnie.

Chciał pocałować ją w rękę, ale Edwina cofnęła dłoń.

– Wstałam wcześnie, bo trzeba było spakować pańskie rzeczy. O której godzinie musi być pan na statku?

– Późnym rankiem. Mamy czas, by spokojnie zjeść śniadanie, zapłacić za hotel i udać się do portu.

– Ja... ja sądzę, że lepiej pożegnać się już tutaj, a nie w porcie, na oczach tylu ludzi.

Wyraźnie unikała jego wzroku, a jemu głos wewnętrzny podpowiadał, że jest źle. Nawet bardzo źle.

– Pożegnać się? – powtórzył, przerywając nalewanie kawy. – Nie pojmuję. Z kim? Z rodzicami? Jeśli koniecznie chce pani spotkać się jeszcze z nimi, możemy odłożyć nasz wyjazd o kilka dni.

Nadal nie patrząc na niego, potrząsnęła przecząco głową.

– Ja... wcale nie wyjeżdżam.

Miles zbladł. Stanowczym ruchem odstawił filiżankę. Czuł dziwny skurcz w piersi. Edwina zaś mówiła dalej:

– Zostaję tutaj. Nie popłynę z panem do Anglii. Zdaję sobie sprawę, że z tego powodu cała procedura się przedłuży, ale przyrzekam, od razu podpiszę, co trzeba, i natychmiast odeślę. Sądziłam, że wszystko już uzgodniliśmy.

– Też tak sądziłem – rzucił ostro. – I dlatego wczoraj wieczorem zjawiła się pani w mojej sypialni!

Czuł narastający gniew pomieszany z panicznym lękiem. Do diaska! Chyba ona nie zamierza wypierać się tego wszystkiego, co wspólnie przeżyli tej nocy!

Rumieniec na twarzy Edwiny pociemniał.

– Pan się myli, milordzie. Wczoraj wieczorem wysłałam do pana pokojówkę, żeby wymasowała panu plecy. Okazała... zbyt wielką gorliwość. Wiem. Skarciłam ją już za to i proszę, nie mówmy więcej o tym.

Jakby on był w stanie w to uwierzyć!

– Edwino! – Wsunął palec pod jej brodę i zmusił, by uniosła twarz i w końcu spojrzała mu prosto w oczy. – Edwino! Przecież to nonsens! Nie pojmuję, dlaczego pani uznała za konieczne przyjść do mnie w przebraniu, ale

mimo to doskonale wiem, że kobieta, która tej nocy zjawiała się w mojej sypialni, wcale nie miała na imię Juanita. To była pani! Dlaczego nie chce się pani do tego przyznać?

Rumieniec nadal barwił jej policzki. Odepchnęła rękę Milesa i ze spokojem wytrzymała jego wzrok. W jej oczach dojrzał chłód.

– Naturalnie, że to była pokojówka. Dziwię się, że po tym, jak panu wyznałam, co dla mnie znaczy doktor MacAndrews pan śmie insynuować, że byłam zdolna zażywać uciech w łóżu z mężczyzną, którego nie darzę uczuciem. Pan godzi w mój honor, milordzie.

– Ja? Ja godzę w pani honor? Pani jeszcze twierdzi, że ma honor?– Pani, która po tym wszystkim, co przeżyliśmy tej nocy, wysyła mnie samego do Anglii, żebym starał się o anulowanie naszego małżeństwa?

Uniosła głowę nieco wyżej, spojrzenie stało się jeszcze bardziej lodowate.

– Proszę, milordzie, nie psujmy tych ostatnich chwil obrzucaniem się inwektywami.

Odwróciła się do swojej filiżanki z kawą, a przez Milesa przetaczała się nowa fala gniewu i niedowierzania, oburzenia i urazy.

– A więc zamierza pani w taki właśnie sposób zakończyć naszą znajomość? Zjemy śniadanie, powiemy sobie „do widzenia”. Ja wsiądę na statek, a pani wróci do Torres Vedras.

– Naturalnie. Od samego początku byłam pewna, że tak właśnie się stanie.

Od samego początku... Nagle Miles uzmysłowił sobie, że Edwina ma rację. Przecież nigdy nie wspomniała choćby słowem, że razem popłyną do Anglii. Wymyślił to sobie i uwierzył tak mocno, że innej możliwości nie brał w ogóle pod uwagę.

Znów poczuł gniew, bo rozstanie wydawało się nieuniknione.

– Edwino! Pani spodziewa się, że odjadę i po prostu zapomnę o kobiecie, która uratowała mi życie?

Zapomnę o kobiecie, która zdumiała mnie, wstrząsnęła mną i urzekła tej jednej długiej i cudownej nocy?

– Pozostanie przy życiu zawdzięcza pan Bogu, nie mnie, milordzie. Pójdę wydać Manuelowi polecenia.

Wstała z sofy i szybkim krokiem opuściła bawialnię.

A nim targał i gniew, i największa rozpacz. Jakże to tak? Ta kobieta tej nocy dzieliła z nim łożo, skonsumowali małżeństwo, a teraz odwraca się od niego plecami? Chce, żeby każde z nich poszło w swoją stronę? Przecież to... to nie ma najmniejszego sensu.

Zdradziła, znieważyla wszystko to, co połączyło ich tej nocy.

Zaklął. Chwycił filiżankę i cisnął do kominka. Stłukła się w drobny mak.

Tak samo było z jego sercem.

Trzy godziny później Miles wkraczał na trap, wiodący na pokład kupieckiej fregaty Reliant, która wraz z popołudniowym odpływem miała ruszyć do Anglii. Wkraczał tam z ciężkim sercem. Czy porywisty wiatr na pełnym morzu zdoła wygnać z jego głowy wszystkie myśli o Edwinie? A z serca wypędzić ból...

Nie odprowadziła go do portu. Nie dała się namówić. Pozwoliła się tylko pocałować w policzek i pożegnała go w hotelowej bawialni.

Miles wciąż nie mógł ochłonąć. Bez przerwy odtwarzał w głowie wszystkie szczegóły ich wspólnej nocy. Cudownej od tej chwili, kiedy zorientował się, że zawołowana kobieta to Edwina.

Wcale nie cudownej. Ta noc przede wszystkim była zbawieniem, otworzyła mu bowiem oczy i uchroniła przed spędzeniem reszty życia w roli

żałosnego rogakza. Edwina jest przecież nadzwyczaj hojna w obdzielaniu męzczyzn swoimi wdziękami. Pragnie wyjść za konowała, ale przedtem bez skrupułów uwiodła Milesa.

Nie. Ta hipoteza jakoś nie pasowała do kobiety, którą zdążył już bliżej poznać...

Kiedy wszedł na główny pokład, zobaczył grupę rannych żołnierzy. Kilku z nich szło o kulach, pozostałych niesiono na noszach. Nie wahał się. Pośpieszył do nich, żeby służyć im pomocą, a jednocześnie oderwać się od ponurych myśli.

Nagle dostrzegł jeszcze jednego męzczyznę, który pochylał się nad noszami. Poznał go od razu. Nie mógł się mylić. Był to doktor MacAndrews.

W pierwszym odruchu chciał odwrócić się i odejść, potem jednak pomyślał, że skoro już musi zrezygnować z żony, to przynajmniej niech się dowie, czy męzczyzna, którego sobie wybrała, odwzajemnia jej uczucia.

Może jednak nie? Przecież poznanie prawdy niczego nie zmieni... Postanowił więc odejść... i w tym momencie wróciło wspomnienie minionej nocy. Wspomnienie niezwykle wyraziste, budzące wszystkie zmysły. Znów słyszał cichutki odgłos olejku wylewanego na ciepłe dłonie. Czuł jego zapach, i zapach Edwiny, kiedy wcierała wonny olejek w jego skórę...

Nogi same go poniosły. Szybko znalazł się obok doktora.

– Witam – odezwał się uprzejmie MacAndrews. – A więc w końcu wraca pan do Anglii, lordzie Hampdenie! Winszuję panu.

– Sądzę, że powinszowania należą się raczej panu, doktorze. Czy to radosne wydarzenie, o którym wspominała Edwina, ma mieć miejsce niebawem?

Twarz doktora lekko poczerwieniała.

– A więc wspomniała panu o tym? No cóż, na powinszowania może jeszcze za wcześnie, ale wierzę, że to rzeczywiście stanie się już niebawem.

To szczere wyznanie odebrało Milesowi ostatnią nadzieję. Do tej chwili ludził się, że Edwina po prostu przed nim udawała, a jednak okazało się, że mówiła prawdę. Poczul się jeszcze gorzej, niż kiedy pod Talaverą kopnął go koń. Czul gniew i urazę, czuł się oszukany i poniżony.

Wiedział już wszystko. Nie pozostawało mu nic innego, jak wyrzucić z siebie słowa pożegnania i odejść, ale coś go przed tym powstrzymywało. A mianowicie świadomość, że nieszczęsny doktor zapewne kiedyś będzie cierpieć jak on, jeśli nie pozna prawdy o kobiecie, którą zamierza poślubić.

– Mam nadzieję, że pańskie małżeństwo będzie tak szczęśliwe, jak pan tego pragnie – powiedział. – Bo zważywszy na charakter pańskiej narzeczonej...

Doktor zeszywniał.

– Pan wybaczy, ale co pan ma na myśli, lordzie Hampdenie?

– Tylko to, że pańskiej narzeczonej podczas niesienia pomocy rannym zdarza się czasami przekroczyć pewne granice.

Jak tej nocy...

Spojrzenie doktora, jeszcze przed chwilą nieco urażone, teraz wyrażało jedynie zdumienie.

– Niesienie pomocy rannym? Czy pan źle się czuje, milordzie?

– Wręcz przeciwnie! Czuję się znakomicie! Ciało tak, ale dusza nie.

– A może zażył pan opium? – indagował zatroskany doktor. – Bo wygląda na to, że w pańskiej głowie coś się pomieszało. Kocham moją Alicję ponad życie, ale nie wyobrażam sobie, żeby miała pielęgnować rannych żołnierzy. Przecież ona na samo słowo „krew” popada w omdlenie!

Miles poderwał głowę.

– Alicia?!

– Alicia – potwierdził doktor nieco zniecierpliwionym głosem. – Młoda dama, którą zamierzam poślubić. Przecież to o niej musiała wspomnieć panu Edwina. Bo i o kimże innym?

Miles nabrał głęboko powietrza.

– Ma pan rację, doktorze. Pomieszało mi się wszystko. Pańska Alicia nie jest siostrą miłosierdzia w naszym obozie?

– Alicia?! – MacAndrews wybuchnął głośnym śmiechem. – Wielkie nieba, skądże! Nigdy bym jej nie pozwolił zbliżyć się do lazaretu nawet na milę! Alicia jest w domu, w Kent, i czeka na mój powrót, mam nadzieję, z takim samym utęsknieniem, jak ja wypatruję chwili, gdy znowu ją zobaczę.

– Ach, teraz sobie wszystko przypominam! Edwina opowiadała mi, że pańska narzeczona jest osobą nadzwyczajną.

– I tak jest w istocie.

A Edwina jest nikczemną intrygantką, myślał Miles, kiedy rozpromieniony MacAndrews nie ustawał w peanach na cześć swojej narzeczonej. Kiedy w końcu zamilkł, Miles rzucił mu słowa pożegnania i ruszył z powrotem do trapu. Nie miał pojęcia, co skłoniło Edwinę do wymyślenia tej całej historii z Bogu ducha winnym doktorem, wiedział tylko, że nie wyjedzie z Portugalii, póki ze swą żoną intrygantką nie przeprowadzi jeszcze jednej rozmowy.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Edwina wolnym krokiem przemierzyła hotelowy pokój i podeszła do balkonowych drzwi. Bagaż już dawno wyniesiono, ona nie kwapiła się jednak do zejścia na dół. Wyszła na balkon i popatrzyła w dal, ponad dachami Lizbony, w kierunku portu.

Chciała poczekać do chwili, aż statek uwożący jej męża wypłynie w morze. Jeśli Miles będzie na pokładzie, może uda jej się spojrzeć na niego jeszcze raz. Nieodwołalnie ostatni raz.

Chłodne pożegnanie tego ranka zgasiło ostatnią iskierkę nadziei. Miles nie wyznał jej miłości, nie prosił, by mimo swej sympatii do doktora dotrzymała małżeńskiej przysięgi. A gdyby powiedział, że kocha, ona również otworzyłaby przed nim serce. Dowiedziałby się, jak wielkim uczuciem go darzy...

Czekała na te słowa, tak bardzo pragnęła je usłyszeć. Och, jakże okazała się głupia i naiwna. Gorzka przeszłość powinna była ją nauczyć, że nie wolno karmić się bajkami.

Cóż ona teraz z sobą robi, kiedy to niefortunne małżeństwo zostanie rozwiązanej Minionej nocy w ramionach Milesa doznała największej rozkoszy. Oddała mu swe ciało, serce posiadał już wcześniej. Po tej nocy nie wyobrażała sobie, że kiedykolwiek jeszcze będzie mogła oddać się innemu mężczyźnie.

W jej planach nie nastąpi więc żadna zmiana. Będzie wiodła samotną egzystencję, osłodzoną jedynie wspomnieniem, które nigdy nie zatrze się w jej pamięci. Wspomnieniem o tej jednej jedynej cudownej nocy, spędzonej z ukochanym człowiekiem...

Ktoś zastukał. Spojrzała na drzwi. To zapewne Manuelo przyszedł spytać, czy lady Hampden gotowa jest do wyjazdu. Przemierzyła więc

ponownie hotelowy pokój, zerkając przez ramię na port. Otworzyła drzwi i zamarła, bo jej oczom ukazał się nie zgięty w ukłonie lokaj, lecz ktoś zupełnie inny, ktoś, kogo miała już nigdy nie ujrzeć.

– Pan... pan nie jest na statku?

– Nie zakończyłem jeszcze pewnych spraw. Mogę wejść, milady?

Czyli po raz drugi nastąpi scena pożegnania. Edwina znów uda chłód, choć jej serce będzie pękać z rozpaczy. Nie, po raz drugi tego nie przeżyje!

– Milordzie, po co... Przecież nie mamy już sobie nic do powiedzenia.

Nie posłuchał. Wyminął ją, wszedł do pokoju i zasiadł na sofie.

– Sądziłem, że będę w stanie wyjechać, a jednak okazało się, że nie. Nie wyjadę, póki czegoś nie wyjaśnię. Bo tak się jakoś złożyło, że niedługo po tym, gdy wszedłem na pokład, przywitał mnie doktor MacAndrews.

– Doktor MacAndrews... – powtórzyła jak echo i zbladła. Powoli zamknęła drzwi, powoli podeszła do sofy. Też usiadła, oczywiście jak najdalej od Milesa.

– Tak. Doktor MacAndrews. Tą fregatą płynie do Anglii kilku rannych żołnierzy. Doktor był przy nich. Wykorzystałem sposobność i poprosiłem, by przekazał od nas ukłony swojej narzeczonej, pannie Alicji Wentworth, która czeka na niego w hrabstwie Kent!

Struchlała. Wielki Boże! Hampden zorientował się, że go okłamała! Co robić? Niestety, jest tylko jedno wyjście. Trzeba kłamać dalej, udawać, że nie wiedziała nic o zaręczynach doktora z inną kobietą.

– Ja... ja nie miałam o tym żadnego pojęcia! Byłam pewna, że on...

– Dość, Edwino. Niech pani ma odwagę się przyznać, że historia o doktorze wyssana jest z palca!

Zawahała się. Z jednej strony była gotowa dalej się bronić, z drugiej jednak chętnie by tego poniechała, wiedziała przecież, że nie jest dobrą

kłamczuchą. Lepiej wyznać prawdę, no, chociaż jej część, może to go skłoni do opuszczenia tego pokoju. I to jak najszybciej, by tęsknota za nim nie zdążyła rozwiać wszystkich jej pobożnych życzeń i nie skończyło się tym, że zaraz zacznie błagać Hampdena, by został.

– Proszę wybaczyć mi kłamstwo, milordzie. Uczyniłam to w dobrej wierze. Wiem, że poczucie honoru nakazuje panu utrzymać to małżeństwo. Na pewno nasza przyjaźń nie jest tu bez znaczenia, ale przede wszystkim chodzi o honor. Musiałam wymyślić jakiś powód, który by skłonił pana do zwrócenia mi wolności, a honor pański by na tym nie ucierpiał. Żeby mógł pan z czystym sumieniem wrócić do Anglii i znaleźć sobie inną żonę, damę bardziej odpowiednią do pana pozycji, którą zaaprobuje też pańska rodzina.

– Pani się myli. Może dla kilku nadętych snobów nasze małżeństwo będzie wręcz wstrząsająco niedobre, ale u wielu osób wzbudzi zazdrość. – Uśmiechnął się chytrze. – Znaleźć sobie za żonę spadkobierczynię nababa... Tak, to zawsze należało do dobrego tonu!

– Nie! To nigdy nie spotka się z powszechną aprobatą!

– Za to my siebie nawzajem aprobujemy, pasujemy do siebie wręcz znakomicie, Edwino. Czy tych dziesięć dni nie pokazało, że mamy podobne gusta, sposób myślenia i spojrzenie na świat? A ta ostatnia noc? Mieliśmy sposobność się przekonać, jak bardzo odpowiadamy sobie również i w tej sferze. Dlaczego pani jest tak uparta i koniecznie chce, żebym wyjechał? Skąd pomysł na te kłamstwa i intrygi u tak zazwyczaj szczerzej i uczciwej kobiety jak pani? Sądzę, że powinna mi to pani wyjaśnić dokładniej chociażby z jednego powodu. Jak mi się zdaje, jest pani głęboko przekonana, że nie sprostam naszemu małżeństwu. Tym brakiem zaufania czuję się po prostu urażony.

– Nie, milordzie, nie! Chodzi o to...

– Może o to, co zdarzyło się między panią a Denbym? Był przekonany, że zaraz po ślubie zdobędzie pani fortunę i dlatego starał się o pani rękę, a kiedy dowiedział się, że na pieniądze musi poczekać, wpadł we wściekłość.

Zmroziło ją, jakby nagle zanurzyła się w lodowatych falach rzeki Duero.

– Kto... kto panu o tym powiedział?

Wzruszył niebale ramionami.

– Nikt. Sam do tego doszedłem. Pani podstawowym argumentem przeciwko naszemu małżeństwu była zawsze różnica w pochodzeniu, a przecież już była pani żoną arystokraty. Czyli nie chodzi o pochodzenie, bo byłoby to nielogiczne. Przyczyna jest inna. Pani pierwsze małżeństwo nie należało do udanych. Edwino...

– Jego głos złagodniał. – Tak było, prawda? Nie potrafiła dłużej ukrywać bolesnej przeszłości, zwłaszcza teraz, kiedy Miles stał jej się bliski jak nikt dotąd.

– Tak – powiedziała cicho. – Małżeństwo nie należało do szczęśliwych.

– Denby udawał tylko uczucie, prawda? Na pewno udawał, nie wyobrażam sobie, żeby pani zgodziła się wyjść za człowieka, który chciał tylko pani pieniędzy, nawet gdyby pani go kochała. Jak to się jednak stało, że jego prawdziwe intencje wyszły na jaw dopiero po ślubie? Czyżby pani go zwodziła? Zataiła przed nim fakt, że spadkobierczynią zostanie dopiero za kilka lat? Trudno mi w to uwierzyć...

– Nie zwodziłam. Powiedziałam mu o tym od razu, gdy tylko wspomniał o spadku.

– Mimo to uznał, że warto poczekać. Poślubił panią, a pani z biegiem czasu przekonała się, jakie są jego prawdziwe uczucia.

– Och... – Jej usta wykrzywił gorzki grymas.

– Przekonałam się o tym jeszcze przed ślubem.

– Spojrzała w bok, niezdolna patrzeć mu w oczy, gdy opowiadać będzie o swoim upokorzeniu.

– Po kilku tygodniach zabiegania o moje względy Denby zaprosił mnie na spacer po ogrodach Jej Królewskiej Mości. Byłam bardzo jeszcze młoda, naiwna i rozkochana w nim. Nieprzytomna ze szczęścia, kiedy pocałował mnie i poprosił, żebym została jego żoną. Jego bogatą żonką, zażartował, ale natychmiast ostygł w zapalach, gdy wyznałam mu, że spadek przejmę dopiero za kilka lat. Niestety, wtedy zza krzaków wyskoczyło dwóch jego przyjaciół, a Denby nadal mnie obejmował. Sytuacja była kompromitująca i tylko zaręczyny ratowały mnie przed utratą reputacji.

– Czyli w jakiś sposób czuła się pani zmuszona do tego małżeństwa?

– Na początku na pewno nie, ale po jakimś czasie Denby złożył wizytę memu ojcu, który, jak się domyślam, potwierdził moje słowa o spadku. Denby wpadł we wściekłość. Unikał mnie przez wiele dni, a ja miałam czas, by uzmysłwić sobie, jakie są jego prawdziwe sentymenty. Kiedy w końcu zjawił się u nas z wizytą, powiedziałam mu, że to narzeczeństwo nie ma sensu i że zwracam mu słowo. Lecz on zaprotestował. Powiedział, że to niemożliwe. Denby z Alveney Court nie może dostać kosza od jakiejś gąski z prowincji. Stałby się pośmiewiskiem. Poza tym ma nadzieję, że zanim dostanę spadek, mój ojciec popłaci jego długi i wyznaczy mu apanaże. Powiedział mi też wprost, że małżeństwo z osobą urodzoną niżej budzi w nim niesmak, niestety jest do tego zmuszony.

Miles z trudem powstrzymał się od wiązki grubych przekleństw.

– Czyli ten łajdak nie chciał już pani wypuścić z rąk? A raczej pani pieniędzy?

– Właśnie. Podziękowałam mu, że chce uczynić mnie swoją żoną. Dla mnie to wielki zaszczyt i tak dalej, niemniej zamierzam się nad tym jeszcze

zastanowić. Wtedy zaczął mi grozić. Jeśli będę nalegać na zwrócenie słowa i pokrzyżuję jego plany, powie moim rodzicom, że czuje wielką ulgę, bo nie jest już zmuszony do poślubienia córki człowieka pochodzącego z pośledniego rodu. Człowieka, który służy w podrzędnym regimencie, a jego matka była dzieckiem prostej dziewczki. Powiedział mi też, że jego przyjaciele widzieli na własne oczy, jak zwabiłam go do ustronnego miejsca w ogrodzie i przymusiłam do oświadczeń. I wkrótce cały brytyjski garnizon dowie się, że jestem rozpuszczoną dziewczyną o wątpliwej moralności. Inaczej mówiąc, ladacznicą.

– Twój ojciec powinien był go zastrzelić.

– Ojciec o niczym nie wiedział, a ja sądziłam, że znajdzie się jakieś wyjście z tej okropnej sytuacji. Niestety, tak się nie stało. Moja matka była wniebowzięta, Denby był przecież dla mnie świetną partią. Ojciec też był z tego dumny, a ja nie mogłam znieść myśli, jak cierpieliby moi rodzice, gdyby ten drań spełnił swoją groźbę. Dlatego w końcu wyszłam za niego.

– Za tego łajdaka! Edwino! Jak pani udało się przetrwać to małżeństwo?

– spytał cicho Miles. Nachylił się ku niej i zaczął głaskać ją po policzku.

Nie zachnęła się, przymknęła tylko oczy i z rozkoszą poddała się delikatnej pieszczocie.

– Przetrwałam, milordzie, jak ktoś, kto musi czynić rzecz bardzo niemiłą. Przysięgam sobie jednak, że nigdy więcej nie dopuszczę do tak upokarzającej sytuacji.

– Teraz pojmuję, dlaczego pani, pomna tych smutnych doświadczeń, tak nalegała na rozwiązanie naszego małżeństwa. Chciałbym mieć jednak w tej sprawie też coś do powiedzenia, wszak nie tylko pani ona dotyczy. Wyznam więc, czego pragnę. A pragnę z całego serca mieć u swego boku piękną kobietę, której odwaga, inteligencja i pomysłowość budzą we mnie największy



podziw. Kobieta, bez której nie wyobrażam sobie dalszego życia. Edwino, czy pani nie czuje do mnie nawet odrobiny sympatii?

Otworzyła usta, natychmiast jednak zamknęła je z powrotem. Nie, nie mogła pozwolić, by uleciało z nich gorące wyznanie, które już było na jej drżących wargach.

– Ależ ja... ja darzę pana wielką sympatią.

– Jak wielką, Edwino?

Nie zdążyła odpowiedzieć, nie zdążyła nawet pomyśleć, jaka będzie jej odpowiedź, nagle bowiem znalazła się w ramionach Milesa i poczuła na ustach ciepło jego warg. Musiała się poddać. Mogła dyskutować z nim zażarcie, mogła opierać się jego słowom ale temu nie. Przecież pragnęła tego rozpaczliwie.

Szepnęła coś cicho, pewnie jakieś tajemne zaklęcie, chwyciła kurczowo Milesa za ramiona i rozchyliła usta, wkładając w ten ostatni, pożegnalny pocałunek całą namiętność, której się opierała, i całą swoją miłość.

Namiętny pocałunek trwał i trwał, w końcu Miles poderwał głowę, ale nie puścił Edwiny, tylko przygarnął ją do swojej szerokiej piersi. Nie śmiała podnieść głowy i spojrzeć na niego, teraz, kiedy była bliska łez.

Próbowała wysunąć się z jego objęć, lecz nie pozwolił. Przytrzymał ją jedną dłonią, drugą objął jej twarz i zmusił, by spojrzała mu prosto w oczy.

– Edwino... – szepnął – jak wielka jest ta pani sympatia do mnie?

Wtedy poddała się całkowicie. Nie była w stanie już dłużej niczego skrywać ani bronić się przed czymkolwiek.

– Och, milordzie... Przecież ja... ja pana kocham! Dlatego nie mogę pozostać pańską żoną. Żoną człowieka, który żywi wobec mnie uczucia tylko przyjacielskie. Unieszczęśliwiłabym i pana, i siebie. Och, Hampdenie, proszę!



Niech pan się nie opiera, niech pan pozwoli zwrócić sobie wolność i poszuka kobiety, którą pokocha!

– Jak mam szukać, skoro już ją znalazłem! Edwino... moja najdroższa Edwino... Może i dobrze się stało, że trafiła mnie francuska kula, bo dzięki temu los zbliżył nas do siebie, a ja po kilku zaledwie dniach wiedziałem już, że mam w zasięgu ręki prawdziwy skarb! Kocham cię, Edwino. Zostań moją żoną. Zostań nią nie dla mego tytułu czy majątku, ale po to, bym doznał największego szczęścia, mając u swego boku panią mego serca. Dobry Bóg darował mi życie, może miał być to podarek z okazji zbliżających się świąt. Chcesz mi podarować wolność, której wcale nie pragnę. Uwierz, całe moje życie, całą moją miłość pragnę złożyć w darze tobie, Edwino...

Milczała, bo z wielkiego wzruszenia, z tego największego szczęścia aż zabrakło jej słów, zabrakło jej tchu.

– Edwino... – Zerwał się z sofy, przykląkł. – Edwino Denby, czy uczynisz mi zaszczyt i zostaniesz moją żoną, którą będę mógł kochać i opiekować się nią do końca moich dni? Aha, i obiecuję, że w naszym domu nigdy nie zabraknie wonnych olejków!

Rozpierała ją radość, choć czuła również, że jej policzki pokrywają się szkarłatem.

– Skoro tak to sformułowałaś... nie pozostaje mi nic innego, jak powiedzieć tak.

Krzyknął wesoło, zerwał się na równe nogi i dosłownie zgniół ją w uścisku.

– Najdroższa, kocham cię! I od tej chwili ja roztaczam nad tobą całkowitą opiekę. Ten ranek był dla ciebie niemiły, przecież omal nie zmusiłaś człowieka, którego kochasz, do usunięcia się z twojego życia. Przeżyłaś

ciężkie chwile, teraz powinnaś znaleźć ukojenie, naturalnie w moich ramionach.

– Masz rację. Z największą radością składam swój los w twoje ręce. Teraz i na zawsze, Miles. – Uśmiechnęła się do niego słodko i nad wyraz chętnie dała się powieść do zacisza sypialni.

RS